Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł – 8 stron | Warszawa, 21 września 1952 r. | Nr 38 (130) Rok III

Kiełbasa, rozsądek i patriotyzm

Dostałem kartkę z redakcji: prosimy napisać krótki felieton. Temat: program wyborczy Frontu Narodowego a wieś.

No, dobrze — pomyślałem — ale jak to napisać. Zagadnień nasuwa się wiele. A ma być krótko i tylko to co najważniejsze. Przejrzałem kilka książek, przerzuciłem gazety, sięgnąłem do wspomnień z „terenu", ale felieton z tego — ani rusz — nie wychodził. Z lektury odnotowałem sobie dwie rzeczy (trochę bez związku). W roku 1928 chłop musiał sprzedać kwintal żyta, aby kupić pług. W roku 32-gim już prawie dwa kwintale, w 34-tym blisko trzy. Na taki sam pług. Podobnie było z cukrem. W roku 1928 chłop dostawał kilogram cukru za 3,6 kg żyta, w 32-gim za 7,2 kg, w 34-tym za 11 kg. Nie inaczej działo się z naftą czy garnkami. Ceny artykułów przemysłowych szły stale w górę, ceny artykułów rolnych w dół. Jak chłop miał żyć?

Zanotowałem sobie również to, co mi przypomniały gazety: przed wojną każde wybory poprzedzała „kiełbasa wyborcza". I to w dosłownym sensie. Obszarnik fundował chłopom kiełbasę a nawet wódkę. Piło bractwo i głosowało „na jedynkę", czy inne bliskie w numeracji i nie tylko w numeracji listy.

Otóż w związku z nadchodzącymi obecnie wyborami dostrzegam pewne bardzo ważne zagadnienie, które chcę tu omówić. Stosunek cen interesujących chłopa kształtuje się zupełnie inaczej niż przed wojną, a na poczęstunki nikt nie zaprasza.

Bywałem ostatnio na zebraniach przedwyborczych. Słyszałem, co tam ludzie mówią. „Często idziemy z pracy do domu z a m y ś l e n i. Jest ciężko. Ale będziemy głosować na Front Narodowy." Tak, są trudności w kraju, są ogonki po mięso, kiełbasę. Tego się nie tuszuje. Wybory odbędą się właśnie w obliczu trudności. Bez „kiełbasy wyborczej" i nie po pijanemu, lecz na trzeźwo.

Czy ciężary związane z realizacją Planu Sześcioletniego ponosi w jakimś stopniu także ludność wiejska? Owszem. Od pewnego czasu dzięki dekretom rządowym znaczną część produktów sprzedaje chłop polski Państwu po cenach niższych niż wolnorynkowe. W podobnych okolicznościach każdy rząd burżuazyjny zatroszczyłby się o „kiełbasę wyborczą" dla chłopów. A dlaczego rząd ludowy tego nie robi. Bo ma w ręku lepsze argumenty.

Stosunek cen artykułów rolnych i przemysłowych jest dla rolników korzystny. Dzięki temu właśnie — mimo pewnych istniejących jeszcze braków w zaopatrzeniu — chłop chodzi w butach, ma naftę, jada z cukrem i solą. Obecnie chłop, związany dostawami dla Państwa, nie może wyspekulować nadmiernej zwyżki cen na artykuły rolne, ale nie boi się też raptownych zniżek. Państwo płaci rolnikowi zawsze jednakową cenę: opłacalną. Za produkty przemysłowe pobiera Państwo również jednakową zawsze cenę: dostępną dla chłopa. Znikło ze wsi widmo kryzysów.

Program wyborczy Frontu Narodowego wymienia zdobycze osiągnięte przez chłopów w Polsce Ludowej: ziemię z reformy rolnej, możność pracy w przemyśle, kredyty, zaopatrzenie w sprzęt rolniczy, elektryfikację, wzrost zamożności. „Chłop pracujący — powiada Program — jest dziś rzeczywistym współgospodarzem kraju".

Sprzedać żyto Państwu nieco taniej niż można by sprzedać na wolnym rynku to niewątpliwie dla chłopa pewne wyrzeczenie. Ale czym tłumaczyć, że wielu chłopów realizowało i realizuje dostawy obowiązkowe z nadwyżką? Patriotyzmem.

Do patriotyzmu chłopa odwoływała się kiedyś szlachta i burżuazja w celach obcych klasowo chłopu. Front Narodowy też apeluje do patriotyzmu chłopa, jednak ten apel jest zgodny z prawdziwymi interesami ludu. W czym rzecz: w tym, że chłopom musi zależeć na utrzymaniu i umocnieniu panującego ustroju, aby mogli nadal korzystać z osiągniętych już zdobyczy i aby mogli te zdobycze pomnażać. Jeśli się ma pewną „stratę" na metrze żyta, to ta „strata" wynagradza się stokrotnie w tylu znacznie ważniejszych dziedzinach, że staje się po prostu skromniutką kwotą złożoną jako udział w bardzo dochodowym „przedsiębiorstwie" wolności, sprawiedliwości społecznej, dobrobytu. Jest składką ubezpieczeniową na pokój, na wolność od wyzysku, na szczęście dzieci. Ubezpiecza od wojny, głodu, amerykańskiego kapitału i zarazków Ridgway'a.

A cena, „rządowa" cena jest znowu przystępna.

Jacek Bocheński

POLA GOJAWICZYŃSKA

MAŁA KSIĄŻKA JULII

Jest taka godzina nocy, gdy głęboka cisza ogarnia całe osiedle. Nie podobna ocenić, jak długo to trwa, czy na przymknięcie powiek, czy na głęboki, spokojny sen. Z dołu dobiega przyciszony gwar głosów i stłumiony ruch. Światło reflektorów określa kręgiem ten odcinek budowy, który trzeba podciągnąć przez noc, aby poranna zmiana podjęła robotę bez straty czasu, bez nawrotów i popędziła ją naprzód, podbiła wysoko procentami norm, aż do jakiegoś punktu szczytowego.

Murarz, Stanisław Majewski, mój ojciec, wstał, ubrał się po cichutku. Uprzedzając gderanie żony, mruknął w ciemność mieszkania: — Ja zaraz wrócę.

O świcie, zanim oczy zdołały to spostrzec, ucho podchwyciło jakąś zmianę w rytmie pracy. Dźwięk stoi w powietrzu jako coś trwałego, nieprzemijającego. Coś się musiało zmienić na budowie. Ogłuszający, wysoki głos wznosi się nad placem, głos podżegający i namiętny, wspina się w górę wielkimi susami i śpiewa tam rozlegle, na wysokościach. Niemożliwe, aby wzbił się jeszcze wyżej. Ale tak, wzbija się jeszcze i jeszcze, aż do ucisku serca.

— Mamo, ja zaraz wrócę.

Wybiegam z domu i już jestem w samym środku wielu robót od nawierzchni ulic — po dachy. Mariensztat jeszcze się buduje, a już się stroi, w trawniki, drzewa, kwiaty, rzeźby i latarnie. Praca idzie jakby na trzech poziomach: tuż przy ziemi, na rusztowaniach i w powietrzu, gdy rozpina się siatka drutów. Oto źródło ogłuszającego dźwięku: to pomnożona, przyśpieszona ilość ruchów rąk, uderzeń młotkiem czy kilofem, zgrzytu pił, miękkiego plaśnięcia kielnią, zwiększonego warkotu motorów i obrotu kół, pykania i chodu maszyn. Poza tym hukiem pracy istnieje cisza. Istnieje cisza, zanim nie odezwie się megafon.

Rośnie jeszcze jeden rząd kamieniczek. Tam właśnie, na budowie padają nowe rekordy, z zegarkiem w ręku — ze stoperem — mówi ktoś za moimi plecami. Coś tu się dzieje osobno, coś się toczy swoim własnym torem. Na twarzach murarzy leży powaga, błysk myśli iście twórczej, w chwili, gdy się rodzi rekord; gdy się rozwija, biegnie naprzód tempo wyścigu, wyścig.

Mój ojciec pracuje w pierwszej trójce.

Jest wystrojony, jak na pokaz, w białej koszuli i białej mycce z daszkiem, to od słońca. Kiście rąk ma objęte bandażem ochronnej opaski, twarz gładko ogoloną i ściągniętą namysłem, jedno oko zmrużone jakby za chwilę miał rzucić jakiś dowcip. Zdawało mi się, że słyszę w megafonie: — Majewski — ale nic więcej nie zdołałam uchwycić. Za to na pewno nazwisko ojca figuruje na tablicy pod drzewami na rynku. Mój ojciec ma najwyższą normę, najwyższą normę, stoi to wyraźnie napisane, liczby przy nazwisku. Mój ojciec bije jakiś rekord, a głos w megafonie pędzi naprzód, zachłystuje się, krzyczy wreszcie. Tam w górze, na budowie, panuje głęboka cisza. Ktoś ściera mokrym palcem cyfry na tablicy, z furią stawia nowe i mówi: — cholera.

— Mamo, będziemy mieli meble do naszego mieszkania.

— Skąd wiesz?

— Nasz tato ma dużo ponad normę. Dostanie premię.

Mama wątpi. Potem dodaje:

— Ja nic nie mówię, do dwudziestego drugiego. Słowa nie powiem, do tego terminu. Ojciec zrywa się w nocy, gdy go nikt nie woła i nie prosi, skoro świt też leci do pracy, obiad je na chybcika... Rozumiem, że tak trzeba. Dostaliśmy piękne mieszkanie... Ale jak długo, jak długo można t a k pracować?

Cieśle szykują już wiązania dachów i zapach drzewa nagrzanego słońcem dobiega przez otwarte okna do mieszkania. Pelargonie kwitną, jak oszalałe. Te kwiaty przypominają mi powrót do Warszawy, nauczyciela i jego słowa: — damy wszystko naszej młodzieży. Więc zabieram się gorliwie do nauki, czeka mnie przecież ważny egzamin. Zatykam uszy palcami, zamykam oczy i w pamięci mojej wstaje cała Wiosna Ludów; potem Historia ruchu robotniczego w Polsce. Uczę się teraz w „swoim" własnym pokoju od Bednarskiej.

Tędy, zrujnowaną uliczką, której jeszcze nie tknęła odbudowa, idą transporty materiałów na Mariensztat i wywózka z Mariensztatu. Małe furmanki chłopskie „Wawrzyszew, gmina Młociny" konkurują z wielkimi ciężarówkami. Krzyki woźniców i warkot motorów niesie się przez wybrzeże. Pies z ruin ochrypł już od szczekania, szarpie się na uwięzi, a jego pani odrywa się na chwilę od balii, aby powiedzieć: — cicho, Bukiet, ja ci tu dam. Nasz Morus wybiegł z bramy. Ma tyle rozumu, że nie szczeka. Biegnie do swego przyjaciela, pomerdali sobie ogonami i wywiesiwszy języki legli w cieniu.

Myślę o przyjaźni, która nakazuje wolnemu Morusowi dotrzymać kompanii towarzyszowi na uwięzi.

— Julka, czy to już oddzwonili? — zapytała mama.

Namyślam się.

— Tak, niedawno.

— To dlaczego ojciec nie wraca? Obiad gotów.

I, zapominając o przyrzeczeniu, o terminie, o pięknym naszym mieszkaniu, mama w nagłym gniewie wzniosła w górę ramiona i zawołała strasznym głosem:

— Gdzie chłopaki? Dlaczego ja ich cały dzień nie widzę na oczy? Co to wszystko znaczy? Ja nie mam męża, nie mam dzieci, ani dnia, ani nocy spokojnej! Gdzie oni się wszyscy podziewają?

Głos jej załamał się, opuściła ramiona i dokończyła zwyczajnie:

— A kartofle zdębieją.

W tej chwili pod oknami słychać znajome, szybkie kroki ojca i jeszcze czyjeś; kogoś, kto usiłuje zajść mu drogę, zatrzymać na chwilę.

— Panie Majewski, pan obiecał dać wywiad do pisma. Parę słów...

— Co ja mam panu powiedzieć? Co tu jest do opowiadania? To Krajewski. Niech redaktor pogada z Krajewskim. Krajewski pokazał nam nowy sposób, system trójkowy.

— No... no?

— Dobrałem sobie towarzyszy: Sztranc, Wesołowski...

— No... i? No... i? Chwyciło?

— Swięty Boże, stoi pan godzinę na budowie, przygląda się pan i jeszcze pyta, czy chwyciło?

— Panie Majewski, jedno słowo: termin?

— Będzie dotrzymany.

— Chwileczkę, panie Majewski, ważne dla mnie pytanie; dla mnie, osobiście. Co za siła utrzymuje ludzi na budowie o takim tempie, w imię czego, panie — stawki, płaca, zobowiązanie?

Wychyliwszy się z okna, widzę pięknego młodzieńca, poznaję go. To ten, co kupował zamek w budce naszego inwalidy, gdy po raz pierwszy przybiegłam z kluczami na Mariensztat. W oknie kuchennym matka nasza tak samo przysłuchuje się tej rozmowie. Wiem, że ojciec odezwie się teraz jak chodząca gazeta i młodzieniec otrzyma z powrotem swoje własne słowa; zdania, którymi ozdabia swoje reportaże. Lecz długo panuje cisza. Chętka śmiechu opuszcza mnie. — Zapalimy,, co? — zapytał wreszcie cicho ojciec.

Przez chwilę certują się grzecznie z papierosami, z ogniem, przy czym ojciec obmiótł spojrzeniem twarz dziennikarza, jego niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami, zamsz obuwia, flanelę spodni i aparat fotograficzny.

— Pan wrócił z zagranicy?

— Tak.

— Do rodziny, co?

— Nnie. Ojciec mój zginął w obozie, a matka zmarła wkrótce po powstaniu.

— I wrócił pan tak, do niczego?

Coś ścisnęło mnie za gardło i ze strachem zobaczyłam z ukosa, że mama czerwienieje i blednie, marszcząc twarz w dziwnym ni to uśmiechu, ni płaczu.

— Są ludzie — powiedział ojciec, opierając się plecami o ścianę domu — którzy mogą żyć gdziekolwiek bądź w świecie — i są ludzie, którzy ani żyć ani nawet umrzeć poza krajem nie mogą. Cóż, mógłbym panu odpowiedzieć: pracuję, bo dostałem mieszkanie, bo wszystkie moje dzieci uczą się w szkołach. Ale to nie będzie cała prawda.

— Nie — rzekł dziennikarz — ale ja chciałem, aby to p a n mi powiedział.

— Myśmy się, robociarze, dorwali do Ojczyzny. My, panie...

— Zaczyna się! — odezwała się mama z góry. — Jedzenie czeka, obiad i kolacja razem. I jeszcze nie możesz na czas przyjść i zjeść?...

Przemijanie czasu niczym się teraz nie znaczy. Uderzenia w żelazo i sygnał elektrowni wsiąknęły w gwar budowy. Nagle syrena krzyknęła w przystani, zawołała na mnie przeraźliwie i nagląco: — Ju-u-la?!

Czy to, co się tu dzieje, w mieście odbudowywanym nie jest także historią ruchu robotniczego w Polsce, nie jest, nie jest?... Czy to nie wejdzie do historii, czy o to nie będą nas kiedyś pytać?... i czy nie powinnam tego widzieć i zapamiętać?

Zawsze o tej porze z grzmotem butów, z dźwiękiem blaszanek walą na statek, jak huragan, zamiejscowi robotnicy, mieszkańcy wiosek nadbrzeżnych. Wysypują się ze sklepów w starych domach, z głębokich sionek o mrocznych zakamarkach, gdzie kobiety z koszami sprzedają chleb, rzodkiewkę, kwaszone ogórki, a nawet gotowe dania. — Te czarownice handlują wódką, mają bimber — mówi mój ojciec — z tym trzeba wreszcie skończyć! — Amen— odpowiadam. Jeżeli nasz tato coś powie, tak się stanie... Po zejściu z budowy wszyscy pośpiesznie pozałatwiali drobne sprawunki — biegną z bochenkiem chleba, kiełbasą, słoniną, garścią cukierków dla dzieci. Na trasie zarabia się podwójnie, podwójne stawki, to widać.

Ci budowlani Warszawy, z werbunku na sezon, są najrozmaiciej ubrani, niektórzy jak rangę roboczą mają kombinezony z drelichu, inni nie rozstali się jeszcze mimo gorąca z waciakiem i gumowymi butami. W saperkach, portkach, kurtkach, co pamiętają jeszcze okopy, w koszulach czysto lnianych, parciankach; w kepi, beretach, kaszkietach, papachach. Ogorzałe twarze spływają potem, białe zęby połyskują, zapach wsi unosi się w powietrzu, wypełnia wąską uliczkę. Ktoś wygrywa na harmonii, inny, idąc, już zapada w sen. Gdy czoło pochodu ginie, w przystani, wydaje się, że ludzie z muzyką weszli w Wisłę — i nagle wyłaniają się z innej, z drugiej już strony — za przystanią. Syrena nawołuje teraz jak na alarm. Odjazd, odjazd! W tym wołaniu naglącym pachnie wiatr, szumią fale wiślane, przemijają zielone brzegi, dymią żywiczym dymem chałupy.

Dokończenie na str. 2 ej



Opracowała ROZALIA LASOTOWA

Nafta z dna morskiego

Gdy nad Morzem Kaspijskim świeci słońce, woda staje się zupełnie przejrzysta: na mieliznach, na głębokości siedmiu-ośmiu metrów prześwieca zielonkawe dno morskie, bajeczne i tajemnicze. Tu jest kraina olbrzymich zwałów skalnych, pokrytych mchem i wodorostami, szczerzących ostre kamienne zęby; gdzieniegdzie zajaśnieje piaszczysta smuga i znów posępne bryły głazów wyłaniają się z morskiego dna...

Legendarne królestwo podwodne... Przez długie wieki nikt i nic nie naruszało jego kamiennego spokoju. Śpiewano o nim pieśni, szeptały o nim baśnie, lecz tajemnic morza nie ośmielał się wydrzeć nikt. Przyszedł wreszcie człowiek radziecki, władca przyrody swego kraju, zaborca skarbów ziemi i podziemia — w imię szczęścia ludzkiego — i sięgnął zuchwale aż na dno morza po ukryte tam bogactwa. Nieprzebrane skarby kryją w sobie skały podmorskie. Złoto?... Coś cenniejszego od złota — ropę naftową. Bajki nie mówią o ropie naftowej. Ale też nikt nie zamierza opowiadać tu bajek. Po cóż? Rzeczywistość prześciga wszystko, co wymarzyła kiedykolwiek fantazja ludzka

W lutym 1946 roku Stalin powiedział: „Musimy dopiąć tego, aby przemysł nasz mógł produkować corocznie do 50 milionów ton surówki, do 60 milionów ton stali, do 500 milionów ton węgla, do 60 milionów ton ropy naftowej". — W tych słowach zawarte były najbliższe cele narodu radzieckiego w dziedzinie rozwoju ekonomiki. Cele te zostały—jak wiemy—zrealizowane z powodzeniem, dzięki bohaterstwu pracy ludzi radzieckich, ich bezgranicznemu oddaniu sprawie budowy komunizmu. Nie ma rzeczy niemożliwych dla nich — zbrojnych we wspaniałe zdobycze techniki. Sześćdziesiąt milionów ton ropy naftowej — to bardzo dużo, ale ta ropa jest ukryta głęboko, trzeba ją tylko wydobyć. — Z dna Morza Kaspijskiego — powiadają geologowie. I nafciarze radzieccy rozpoczęli szturm głębin morskich, by czerpać stamtąd miliony ton ropy. A nafty z dna morskiego będzie coraz więcej i więcej. Zapewniają o tym słowa krótkie i zwięzłe, dyrektywy XIX Zjazdu WKP(b): „Zapewnić wysokie tempo rozwoju przemysłu naftowego. Przewidzieć dalszy rozwój wydobycia ropy z pól naftowych, położonych na dnie morza" — zawarte w projekcie wytycznych V-tego Planu Pięcioletniego ogłoszonym w sierpniu b. r.

AWANGARDA SZTURMU — GEOLOGOWIE

W awangardzie szturmu idą geologowie — odkrywcy skarbów podziemnych. Dniem i nocą, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu — w stepach, w górach, na morzu, gromadzą niezliczone ilości próbek geologicznych, wdzierają się w tajemnice wnętrza ziemi. Jednym z odkrywców tajemnic Morza Kaspijskiego jest Aga Kurban Alijew. Wiele pól naftowych powołał on do życia: Kara-Czuchur, ongiś dolina czarnych piasków, przekształciła się obecnie w wielkie nowe miasto, tętniące życiem przemysłu naftowego. To zasługa Alijewa. Z Kara-Czuchur, przez góry i stepy przewędrował młody geolog na Półwysep Apszeroński — a wszędzie gdzie stąpnął, wyrastały wieże wiertnicze. Gdy nafciarze Baku ruszyli na Morze Kaspijskie, Alijew znalazł się na czele wyprawy. Pięć lat spędził na morzu, zbadał dziesiątki wysp, wysepek, zwalisk skalnych i mielizn... Przepłynął tysiące mil, by poznać świat podwodny. Przez ręce jego przeszły miliony próbek dna morskiego.

Latem, jesienią i zimą gdy szaleją burze, Alijew i wierny jego towarzysz, topograf Zwiezdow, pozostawali na morzu przez kilka tygodni; nieraz myślano już, że zginęli. Wracali na brzeg dopiero wtedy, gdy wyczerpały się zapasy wody i żywności. Alijew odkrył kilka złóż ropodajnych pod dnem Morza Kaspijskiego. Temu śmiałemu, zuchwałemu odkryciu nie wszyscy uwierzyli od razu. Autorytatywni w dziedzinie wiertnictwa naftowego ludzie wołali z oburzeniem: „To niemożliwe! W morzu wszystkie fałdy od dawna już zanikły! Skały są już od dawna wyjałowione jak samo morze!" Alijew spokojnie i rzeczowo przeciwstawiał się gabinetowym uczonym: takie a takie fałdy rzeczywiście zanikły, tu a tu zaś fałdy kryją kolosalne zapasy ropy i czekają tylko na człowieka. Na poparcie swych słów przedstawiał niezaprzeczalne dowody. Gdy przeprowadzono wiercenie próbne, z ukazanych przez Alijewa złóż trysnęło takie bogactwo ropy, że nawet doświadczeni nafciarze zdumieli się.

Mistrzem Alijewa jest akademik Iwan Gubkin, i młody geolog często wspomina jego wskazówki i nauki: — Przed wielu laty Iwan Michajłowicz wyraził swoje przypuszczenia co do nowych złóż na Apszeronie. Nie omylił się. Nie omylił się również, wskazując na Morze Kaspijskie. Ropy jest tu nieprzebrane mnóstwo. Na jednej z wysepek, gdzie odkryto tak zwane produktywne złoża ropy, Aga Kurban ustalił zakłócenie tektoniczne. Według jego obliczeń odbyć się tam musiało zatkanie ropy — innymi słowy, w załamanych i przykrytych gliną pokładach powinny były nagromadzić się ogromne ilości ropy. Zaczęto wiercić. Nie łatwo natknąć się od razu na skarb. Niektóre otwory okazały się puste. Inne, którymi natrafiono prawdopodobnie na skraje źródeł podziemnych, dały produkcję średnią. Sceptycy triumfowali: czy warto było sięgnąć tak daleko w morze? Takich otworów jest i na Apszeronie do licha i trochę! Aga Kurban spokojnie kontynuował swą pracę. Znał dobrze teren i był przeświadczony, że właśnie w tej części fałdu musi przebiegać linia zakłócenia. I oto kolejny otwór, wywiercony o kilometr od brzegu, na pełnym morzu, potwierdził całkowicie jego przypuszczenia.

Alijew spotyka na swej drodze i takich oponentów - sybarytów, którzy nie lubią wysilać się w pracy. Gdy przy wierceniach próbnych natrafiano na ropę, wołali: „Stop! Doszliśmy do ropy! Teraz trzeba ją brać!" — „Nie! Trzeba wiercić głębiej — sprzeciwiał się Alijew. — Odkrywamy całe pole i musimy zbadać je wszechstronnie. Od pierwszych szybów zależy produkcja ropy na całym polu".

...ZA NIMI IDĄ INNI...

W ślad za geologami idą mechanicy. To oni „zabudowują" morze, ujarzmiają je nieznużenie swą ciężką pracą. Stawiają żelazne wyspy na skałach podmorskich, wznoszą na nich wieże wiertnicze, montują instalacje. Potem dopiero do głosu dochodzą wiertacze. Pierwszą wieżę wiertniczą na morzu, w pobliżu miasteczka Buzowny, budowano dwa lata. Teraz brygada mechaników wykonuje instalację wysepki wiertniczej w przeciągu dwóch tygodni.

W brygadzie majstra Uwarowa pracuje motorniczy Timofiejew.— Czego ten chłopak nie wymyśli—mówi o nim z dumą Uwarow. — A wiecie, że w Moskwie rozpatrują teraz jego projekt okrętu wiertniczego?

Brygady Uwarowa zabudowują Morze Kaspijskie w różnych miejscach. Pewnego razu mechanicy nocowali na Płaskiej Wyspie, zbili na noc szopę z desek i nazwali ją Głównym Osiedlem. W tym miejscu wyrosło potem rzeczywiście Główne Osiedle — z ulicami i placami... Pierwsze wieże wiertnicze wzdłuż Czarnej Grzędy (wysepki noszą naj-

Ciąg dalszy na str. 2-giej

W numerze

Ciąg dalszy ze str. 1-szej

cudaczniejsze nazwy!), na skałach i wysepkach, gdzie sztorm szaleje przez trzysta dni w roku, postawili uwarowcy. Na wysepce Wulkanium przed kilku laty nie było jeszcze nic — nagi brzeg i — w środku wyspy — stożek wygasłego wulkanu. Dno płytkie, teren jeszcze nieznany. Mechanicy Uwarowa musieli wyładowywać swój sprzęt wprost do morza i wlec go aż do mielizny. Teraz jest tu przystań i miasteczko.

Pola naftowe ciągną się na wiele kilometrów w morze. Blisko brzegu i daleko od niego, jak okiem sięgnąć wznosi się las wież wiertniczych; do najdalszej jest ponad dziesięć kilometrów. Od otworów wiertniczych przez dno morza poprowadzono rurociągi: jedne dla doprowadzania powietrza, inne dla odprowadzania ropy. Między wieżami uwijają się kutry, wiozące majstrów, operatorów, brygady remontowe. Morze tętni życiem. Nawet nocą widno jest na nim od świateł, jak w wielkim mieście.

JAK WIERCI SIĘ W MORZU

Jest na Morzu Kaspijskim skalista wysepka — Zamieszkała, z białą latarnią morską na południowym cyplu, z wioską rybacką; nad dachami domów śmigają białe gołębie i stada mew. Tu przed kilku laty przyszli pierwsi nafciarze morscy: Aga Kurban Alijew, mechanik Grzegorz Dieriewienskij i majster wiertniczy Mikołaj Owsiannikow. Za nimi wpłynęła do zatoki rybackiej flotylla z wyposażeniem wiertniczym. Poszerzono zatokę. Zbudowano nową przystań — cumę. O trzy kilometry od osady wyrosło nowe miasteczko wiertnicze z klubem, kinem, stołówką, garażami, warsztatami i sklepami. Stalowe wysepki wież wiertniczych otoczyły wyspę dokoła. Kiedy wiercono pierwszy otwór — „bunt" potężnych złóż naftowych, ukrytych w głębi dna, wstrząsnął skałą, na której wzniesiono wieżę. Gdy dowiercono szyb, trysnęła potężna fontanna ropy.

Opisać pracę nafciarzy na morzu nie trudno:

Skałę podwodną zalewa się betonem; następnie kładzie się pomost i stawia wieżę wiertniczą. Oddzielnie na żelaznych palach staje domek dla brygady. Poprzez beton i skałę wierci się szyb. Ukazuje się ropa. Uchwytuje się ją w rury. To wszystko.

Ale trzeba przyjrzeć się temu wszystkiemu, by naprawdę zrozumieć, co to znaczy wiercić w morzu! Natrafia się na ciężkie iły i kamieniste kurzawki, i twardsze od cementu piaskowce, i najgorszą do wiercenia — kruchą skałę, której nie może utrzymać cement glinowy i która zasypuje otwór wiertniczy i narzędzia. I wiertacz musi być inteligentny, odważny, zdecydowany, musi szybko i ściśle myśleć, by umieć zapanować nad każdą sytuacją.

Takim wiertaczem jest Michał Kawieroczkin — laureat Nagrody Stalinowskiej. Nie umie i nie lubi opowiadać o sobie żadnych cudów. Spytasz o jego pracę, odpowie ci powoli i spokojnie: — Przebiliśmy pierwszy otwór w skale, teraz zaczęliśmy drugi. Tu, przy Czarnej Grzędzie powstanie wielki przemysł naftowy. — Nic więcej. Ani słowa o trudnościach. Ani słowa o tym, że pierwszy szyb dowiercono przed wyznaczonym terminem: ropa trysnęła w przeddzień Święta, 6 listopada.

Drugi szyb wyznaczyli geologowie w morzu, o 300 metrów od pierwszego. Ale do rozpoczęcia właściwej pracy w otworze było jeszcze daleko: ile to czasu upłynie, nim postawią wysepkę, zbudują na niej wieżę, zainstalują sprzęt! A brygada paliła się do wiercenia. Kawieroczkin postanowił wiercić drugi otwór z tej samej skały—świdrem turbinowym, z przechyłem ku wskazanemu przez geologów punktowi. Brygada entuzjazmowała się tym pomysłem. Ale — co robić z drugą wieżą? Nie zmieści się przecież na skale, tuż przy pierwszej. Lecz i tu znalazło się wyjście. Postanowiono przesunąć pierwszą wieżę o kilka metrów, a drugiej nie stawiać wcale. Tak też zrobiono. Wiertacze zapominali o odpoczynku: po dziesięciu dwunastogodzinnych dniach roboczych pracownikom morza przysługuje ustawowo pięć dni wolnych, które spędzają na lądzie, ale robotnicy woleli być tu, na morzu. Z nimi był i majster.

Po Czarnej Grzędzie, po Wulkanium, Mierzei Pomarańczowej i wielu innych wyspach, brygada Kawieroczkina przybyła na Zamieszkałą. Majstrowi zaproponowano nowy „punkt" geologiczny, odległy od wybrzeża o 400 metrów. Powiedziano mu tak:

— Właściwie należałoby postawić na morzu „wyspę", ale to kosztuje bardzo drogo. Można by też wiercić z brzegu, pochyło, świdrem turbinowym, ale powstaje za duża krzywizna — nie da rady! To już jak uważacie sami...

Wiertacz jest wszechwładnym panem szybu, do niego należy zawsze ostatnie słowo. Majster naradził się z brygadą. Postanowili wiercić z brzegu, świdrem turbinowym. Szybko przeszli tysiąc metrów. Gdy byli na dwudziestym drugim z drugiego tysiąca metrów buchnął potężny słup gazu. Gilazitdinow, oswojony z takimi fontannami, poskromił go szybko. Rozpoczęła się zacięta walka o szyb, z którego przedwcześnie parła ropa. Niebezpieczeństwo zjednoczyło brygadę, sam Kawieroczkin nie odstępował od szybu. Do wyznaczonej głębokości brakowało już niewiele metrów. Opanowywano je z ogromnym wysiłkiem, pokonując gwałtowny wypływ ropy i gazów. W tej walce z żywiołem zwyciężył — musiał zwyciężyć — człowiek. Wiercenie przeprowadzone zostało pomyślnie, zaoszczędzono wiele cennego czasu i milion rubli.

MAJSTER PIOTR TROKOW

Przyszedł na Morze Kaspijskie weteran wiertnictwa w Baku, majster Piotr Trokow, urodzony nad Wołgą, wysoki, barczysty, ciemnooki. O Trokowie mówią towarzysze:

— Nasz Piotr Antonowicz to ma najszczęśliwszą rękę w całym Baku. Co szyb — to ropa. Zawsze trafi. Jemu nawet jak się nie uda, to też szczęśliwie! Nie rozumiecie? No to posłuchajcie! Wywiercił kiedyś Trokow szyb na skalistym cyplu Hanlara. Zamiast ropy poszła woda. Myślicie, że to był wpadunek? Nie, woda okazała się lecznicza — z siarką i z jodem. Teraz tam jest uzdrowisko. Woda Trokowa wyleczyła już tysiące ludzi. Drugi szyb mu się „nie udał" — buchnął z niego nadzwyczajny gaz. Teraz Piotr Antonowicz wierci na trzy tysiące metrów i ciągle się boi, że pójdzie — piwo!

„Szczęście" w wiertnictwie naftowym, to pojęcie oczywiście żartobliwe. Trokow słucha żartów towarzyszy z życzliwym uśmiechem i odpowiada:

— „Szczęście" mają tylko bumelanci: nic nie robią, a praca idzie. My wiercimy!

Na wysepce Trokowa jest czyściutko jak na pokładzie okrętu. Odbywa się tu właśnie płukanie szybu cementem glinowym po zmianie świdra. Gęsta połyskliwa masa z zielonkawym odcieniem ropy ścieka wolno, bez pośpiechu. A przecież przy każdym szybie brygada Trokowa wyprzedza harmonogram o trzy - cztery tygodnie. Przytulnie jest w domku brygady, przypominającym powiększony wagon: porządnie zaścielone łóżka, książki na stolikach nocnych, odbiornik radiowy. Wiertacze na wysepkach nie tylko pracują, lecz również uczą się. Zajęcia w kółku technicznym prowadzi sam Trokow. Odbywają się tu i króciutkie narady produkcyjne i dyskusje na tematy aktualne.

Bardzo denerwowała się brygada po dowierceniu szybu do głębokości 3 i pół kilometra. Na pierwsze miejsce wystąpili teraz wiertacze udarowi, przestrzeliwujący rury na dnie szybu specjalnym karabinem maszynowym dużego kalibru. Brygada Trokowa stała skromnie z boku. Ludzie nie odrywali oczu od wylotu szybu, napełnionego cementem glinowym. Wiertacze długo spuszczali do otworu okrągły korpus karabinu, zawieszony na cienkiej linie, podobny do skróconej butli tlenowej. Oto wreszcie lina drgnęła i zatrzymała się. Kilka razy sprawdzono głębokość. Padła komenda — włączono prąd i chociaż nikt nie spodziewał się oczywiście dosłyszeć strzałów z dna szybu poprzez gigantyczny słup cementu, wszyscy umilkli. I w tej samej chwili cement zabulgotał i popłynął z wylotu. To oznaczało wybuch. Nagle milczące napięcie zmieniło się w wesołe podniecenie, wszyscy zaczęli uśmiechać się, ściskać sobie ręce. „Widziałeś?" „Silny wylew!" „To dopiero wybuch!", „Sto ton co najmniej!" I chociaż wylewu jeszcze nie było, z ujścia płynął na razie cement, ale wszystko już było oczywiste: to ropa wypierała go z szybu, podnosiła się do góry z głębokości trzech i pół tysiąca metrów, z szybkością pół metra na sekundę.

I fontanna ropy o połysku tęczy trysnęła z szybu. „Uchwycono ją" w rury.

Trokow ma za sobą dwadzieścia lat pracy wiertniczej. Przez te lata spotężniała radziecka technika wiercenia, doskonali się z roku na rok, a Trokow nie tylko dotrzymuje jej kroku, lecz prześciga ją i wnosi swoje poprawki. Trokow był jednym z pierwszych wiertaczy, którzy zrezygnowali z usług specjalnego technika, mierzącego pochyłość szybu. Po co zatrudniać zbytecznie człowieka! Wiertacz musi sam torować sobie drogę w głąb ziemi i sam musi sprawdzać, czy kąt pochylenia szybu odpowiada oznaczonemu azymutowi. Trokow pierwszy zastosował dokładne określenie czasu wiercenia — od pierwszego palika do momentu przestrzeliwania szybu: od wyznaczonego przez geologów punktu, gdzie zaczęło się montowanie wieży, do przestrzeliwania dowierconego otworu. Później metodę tę zastosował i ulepszył w Buzownach inny majster - nowator, Mamed Beli, i z jego inicjatywy rozpoczęła się walka wiertaczy o ciągłość wiercenia: palik na punkcie wskazanym przez geologów został wbity — montuj wieżę, aby brygada, dowierciwszy jeden szyb, mogła przystąpić bez straty czasu do drugiego.

opr. **Rozalia Lasotowa**

Dokończenie w następnym numerze.



Widok na szyby naftowe nad powierzchnią morza (Azerbejdżanska Republika Radziecka)

ALBIN BOBRUK

PARADNA DROGA

Ostatnio byłem na Podlasiu. Ciekawiło mnie, jak po tylu latach i po tylu zmianach wyglądają znane mi wsie i miasteczka, w których upłynęło moje dzieciństwo i młodość. Szczególnie interesowałem się Suchowolą, dawną siedzibą księcia Czetwertynskiego, działacza narodowego i posła na sejm z tamtego okręgu.

Z działalnością jego spotykałem się w paru co najmniej akcjach wyborczych. Czasem bezpośrednio z samym księciem — czasem zaś z jego sekretarzem „od polityki". Miał on bowiem i takich. Jeden z nich, niejaki Wróbel, był typowym naganiaczem, jakich używają dziś w wyborach amerykańscy kandydaci na prezydentów i kongresmanów. Robił w imieniu szefa wiece, zebrania w terenie i przyjęcia w klubie obywatelskim w Radzyniu (dla tak zwanych osobistości) lub urządzał pijatyki w karczmach (dla wszelkiego rodzaju szumowin do „bezpośredniej akcji"). W nomenklaturze politycznej strategii księcia słowo „akcja" znaczyło: rozbić wiec przeciwnika politycznego, a przede wszystkim zabezpieczyć własną osobę przed konsekwencjami kontrakcji stosowanych najczęściej w formie „rozdawania jajecznicy". Organizowała je strzegąca wpływu kandydata sanacji policja, na której zlecenie zakupywane były zgniłe jaja w okolicznych kramach.

Nie chcę bynajmniej powiedzieć przez to, że ów Wróbel zawsze zastępował i wyręczał szefa. Nie. Książe jak przystało na dziedzica rycerskich cnót sam także występował na wiecach. „Gotów jest na wszystko" — roznosili po tłumie rozstawieni „gwardziści" księcia. Raz tylko przodownik Idzikowski nie poznał kandydata i dał sygnał do obrzucenia trybuny. Podobno oosobiście przepraszał księcia za ślepotę, oczywiście nie polityczną, ale dosłowną.

To, że książę rzadko występował ze swoimi przemówieniami do ludności Międzyrzeca, a zlecał robienie tam wieców Wróblowi, wynikało z faktu, że Międzyrzec był miasteczkiem o przeważającej liczbie ludności żydowskiej. Ale czyż nawet endek miał rezygnować z tego powodu z walki z konkurentem takim jak kandydujący z ramienia sanacji Bakun. Chodziło przecież o określoną ilość obojętnie jakich „dusz" — głosów.

Dziwni to byli posłowie. Z jednej strony Bakun, państwowo-twórczy mąż, który w sejmie stawał się wodzirejem ustaw o rytualnych ubojach, kokietował księdza Trzeciaka — a z drugiej czystej krwi książę. Obaj ci „przeciwnicy polityczni" podczas akcji wyborczej, później w sejmie, program swój sprowadzali do kwestii, jakiej długości brodę może nosić „mniejszość narodowa", oraz w jaki sposób mają być zarzynane świnie.

Z perspektywy kilkunastu lat chciałem sobie przypomnieć mechanikę procesu sprawiającego, że tacy — lub nie różniący się od nich — ludzie „reprezentowali" naród polski.

Wspominałem stare czasy, rozmawiając niedawno z pracownikami PGR i chłopami w Suchowoli. Każdy z nich czasy te pamięta ze szczegółami.

— Wiecie — wspominał przy pracy kowal Franciszek Markiewicz. — Jak pomyślę teraz o tym co było, wstyd mi czegoś. Nic przecież nie zawiniłem. Pracowałem uczciwie w dobrach Czetwertyńskiego przez 50 lat. Mógłbym i dziś śmiało patrzeć w oczy wszystkim, a jednak jakoś mi nieswojo. Miałem syna, który skończył trochę szkoły i nie miał potem roboty. Prosiłem księcia, żeby wziął go do lasu na praktykanta, za darmo, tak tylko... Nie wziął.

W kuźni panował półmrok. Markiewicz wypuścił miech z ręki i odwrócił się ode mnie do paleniska. Czas jakiś stał tak schylony nad rozżarzonym koksem. Czerwony odblask żaru oświetlał jego potężne ramiona i siwe, w nieładzie rozrzucone włosy. Mimo siedemdziesięciu kilku lat w postaci jego było coś z miny małego dziecka, kiedy samo ocenia niewłaściwy postępek.

— Nie wasza w tym wina — wtrąciłem — przerywając ciszę.

— Nie moja, odpowiedział. — Ale dziecko tego mogło nie rozumieć. Tyle ludzi pracowało... — Mogłem wydać mu się niedorajdą.

Było południe. Na dworze padał deszcz. Do kuźni wchodził coraz to ktoś inny.

— Ot, jemu inna rzecz — odezwał się znowu kowal, kiedy jeden z przybyłych rozsiadł się na gromadzie nieokutych jeszcze kół. — Ma on dzieci młodsze i może ojcować im jak chce. Szkoły — to szkoły, zechce dać im robotę, też jest. To nie tak jak za pana Seweryna.

— Podobno głosowaliście na niego?

Kilka par oczu spojrzało na mnie ze zdziwieniem.

— Spróbowałbyś nie głosować — mruknął Stanisław Kulik, chlewmistrz, były stróż w bramie wiodącej do parku. — Z jego notatką w papierach pożegnaj się z dostaniem roboty w innych majątkach. A jakże, głosowałem. Dach nad głową chciałem mieć dla siebie i dla swoich dzieci.

Lata krzywdy i poniżenia wspomnieniami wracały dnia tego do kuźni, w której Markiewicz przez dziesiątki lat nie mógł wykuć lepszego losu.

— Żeby nie to — odezwał się Jan Bronikowski, wskazując ręką na ścianę obory, gdzie widniały białą farbą napisane hasła: „Prywiet polskomu narodu ot sowieckoj armii" — nie byłbym tu ślusarzem. Ojciec mój miał parę mórg ziemi w pobliskiej wsi Sewerynówce i 11 gęb do jedzenia. Rok czekałem, żeby zarobić na wykopkach i kupić sobie buty. Niektórzy mówią, że źle jest teraz, bo stoi się w kolejce za mięsem. Pewnie, że lepiej bez kolejki — dodał — ale ja stojałem już kiedyś o północy na polu kartofli księcia, żeby rządki zająć pod robotę. Przed świtaniem było za późno taka masa potrzebujących szła do dworu.

— A kto z was należał do tej partii — pytałem dalej.

— To znaczy, do „kokardki"?... A tak, należeli administrator, lokaj, czasem ogrodnik...

— ...A fornale nie?

— Kto należał, chodził czasem do pałacu na odprawę. Nam nie wypadało. Nawet na paradne droge, na te, co wiedzie do pałacu, nie można było wchodzić folwarcznym. Nawet het, w polu.

Rymuszka podał mi adres Feliksa Garbali, którego szlachetny książe przyłapał na takim przestępstwie.

— Którędy się włóczysz! — skarcił pogrążonego w myślach chłopa. Garbala drgnął i spojrzał na księcia jak na zjawę. Zdążał właśnie w jego progi z prośbą o kilka sosen na wybudowanie do u. 20 lat ciułał i kupił wreszcie 2 morgi pola. Brak mu było teraz własnej chałupy, a u księcia tyle przecież lasu, rozumował i układał w głowie, jakich słów użyć, żeby przekonać nimi o swojej potrzebie, a naraz... stój!

— Dopraszam się łaski, mamrotał mnąc w ręku czapkę. — Potrzeba mi koniecznie stawić dom i drzewa nie mam, budulca — o, tłumaczył.

— To w mojej alei szukasz!? — krzyknął książe.

— Nie w alei, a u księcia łaskawego. Poproszę ładnie i czemuż by nie. Ile tam mi tego trza? — przekonywał.

Podobała się widać księciu odwaga chłopa, kazał iść mu za sobą i zaprowadził do pokojów. Po krótkim przesłuchaniu o majętności, ostatniej spowiedzi itd. — zaproponował:

— Dam ci sześć chojarów na dogodne spłaty. Starczy ci. Opowiesz o tym sąsiadom. Może — ciągnął — nawet nie będziesz spłacał. — Nie mów tymczasem tego. Dostałeś ode mnie i koniec. Za tydzień zgłosisz się do sekretarza Wróbla.

Garbala płonął szczęściem. Nie spodziewał się nawet, że tak łatwo dosięgnie celu.

Po tygodniu był on już członkiem endecji.

— Twoją rzeczą — tłumaczył mu Wróbel — organizować takich jakeś sam. Do gospodarzy pełną gębą nie wtrącaj się. Rozumiesz.

Zapewne nie wszystko jasne było podówczas Franciszkowi Garbali. Odpowiedział jednak:

— Rozumiem.

Na takiej podstawie opierało się hasło jedności narodowej księcia na Suchowoli, i takie były „wspólne interesy" jego z kowalem Markiewiczem, chłopem Garbalą i tysiącami służby folwarcznej, dla której, jak opowiada dziś Markiewicz, nic nie wiadomo było wtedy, skąd ten Czetwertyński miał prawo być na liście wybieranych, kto go tam umieścił i kazał reprezentować mój głos w sejmie.

Poprzez szum rzęsiście padającego deszczu dochodził do kuźni od strony werandy pałacu głos dziecięcy pieśni:

— Kapitanie, kapitanie, uśmiechnij się.

— Kolonia letnia dla dzieci pracowników PGR — informował Markiewicz.

Dnia tego widziałem raz jeszcze Markiewicza. Wraz z Garbalą omawiali w lokalu Rady Narodowej zadania Gminnego Komitetu Frontu Narodowego.

Albin Bobruk

MAŁA KSIĄŻKA JULII

Ciąg dalszy ze str. 1-szej

Tu właśnie niespodziewanie spotykam Teresę. Gdyby nie to gwałtowne zderzenie w biegnącym tłumie, nigdybym jej nie poznała. Jest coś śmiałego i swobodnego w jej postawie, i coś urzekającego w jej twarzy. Przywitała mnie bez entuzjazmu. I ja nie zapomniałam także, że po wojnie nie podtrzymała naszej przyjaźni.

— Co ty tu robisz?

— Ja mieszkam tu, w pobliżu.

— A ja jadę do Płocka, do ciotek.

— No, to śpiesz się, już późno.

Ostatnia gromada z tupotem przewaliła się obok nas. Stoimy teraz same na środku opustoszałej jezdni, podczas gdy tamci już się czernią na dole, w przystani.

— Sama nie wiem? — mruknęła Teresa z nagłym zniechęceniem, jakby natknęła się nagle na nieprzewidzianą przeszkodę.

Dawniej zawsze tak było, że gdy Teresa wahała się, ja zaraz przejmowałam inicjatywę.

— Chodź, odprowadzę cię...

Biegniemy. Wiatr oblepia mi sukienkę koło nóg. To ta nowa, różowa w kwiatki. Teresa ma na sobie długie szare spodnie, białą angielską bluzkę z zakasanymi rękawami i trampki. Z ramienia jej zwisa wiatrówka. Wygląda na to, że wyszła z domu tak jak stała, chwyciwszy tę wiatrówkę. Wygląda to niedobrze.

— Nie, nic z tego nie będzie! — szepnęła z rozpaczą.

Tłum zalega jeszcze poczekalnię, sunie, przepychając się do wyjścia na pomost, denerwuje się przy kasie, podczas gdy statek wypełniony po wręby lekko dygoce na fali. Szczęśliwcy na pokładzie lokują się z zadowoleniem, harmonia już tam jest. Grają walca i jakaś para zaczyna tańczyć, robiąc sobie miejsce siłą rzeczy. Z nagłą energią Teresa przepycha się naprzód i niknie w ciżbie. Pojedzie, nie pojedzie?

Gdy dzwon zadzwonił, gdy statek odbił, zostajemy znów same na brzegu.

— Jeżeli wracasz do miasta, pójdziemy razem, chcesz?

Teresa podciągnęła spodnie iście męskim ruchem i powiedziała przez zęby:

— Odczep się.

O, niedobrze. Smutnie poszłam za nią bulwarem. Usiadłyśmy na pierwszej pustej ławce, z dala od siebie, milcząc i gapiąc się na Wisłę. Rybitwy z przeszywającym wizgiem krążyły nad promem, przycumowanym do brzegu. Ich ostre skrzydła, tnąc wodę, rysowały na szarej fali białą frędzlę piany. Stąd tak blisko i wyraźnie widać Pragę z ruinami nadbrzeżnych domów, a z jakiejś bocznej uliczki ukazuje się, jak oblicze ludzkie, grecki kapitel i kolumny ocalałego budynku. To ten dom przypomniał mi wszystko! Widzę nagle dwie, małe dziewczyny, siebie i Teresę, idące tędy na dworzec, z transportem agitacyjnych ulotek „do żołnierzy niemieckich" na wschodni front. Jest szary świt, pada deszcz, dygocemy z zimna, a może i ze strachu? Lecz czujemy się związane z sobą na zawsze i choć się o tym nie mówi, wiemy, że jeśli jedna wpadnie, druga nie opuści jej, pójdzie za nią... Na samo wspomnienie tych lat pociągnęłam nosem. Wszystko wydało mi się głupstwem, jeżeli to minęło.

— Czy narzeczony cię porzucił, czy co? — spytałam ze złością.

Powoli i ospale Teresa obróciła się na ławce w moją stronę. Z jej oczu wejrzała na mnie starcza, nieopisana zgryzota, jakieś wielkie nieszczęście. — Kacperku — rzekła — moi rodzice rozchodzą się. Jesteśmy jeszcze razem, ale to tylko z powodu mieszkania. Pod jednym dachem, każde żyje sobie oddzielnie, swoim własnym życiem, a ja obijam się między nimi. Myślałam, że to jakoś zniosę i przyzwyczaję się, ale nie. Mam to ciągle na oczach, rozumiesz. Gdy się ma coś takiego na oczach, to niepodobne. Ta kobieta...

— Jaka kobieta?

— Kobieta mego ojca — rzekła podniesionym głosem. — No, i ten młody człowiek... Nie jestem dzieckiem, wiem, że to pozwala mamie łatwiej znieść to wszystko, ale dlaczego nie pomyślała o mnie, o mnie, swojej córce?

Siedziałyśmy, milcząc, strasznie zgnębione. Ze wstydu, nie mogłyśmy już o tym mówić. Od Mariensztatu szedł wciąż jednostajny, wysoki dźwięk budowy, choć czerwone lśnienia zachodzącego słońca dawno przemknęły po spokojnej wodzie. Zrobiło się zimno, od Wisły szedł chłód i Teresa dygotała.

— Chodź, pójdziemy do domu — powiedziałem zwyczajnie, bo nie mogłam znaleźć słów, aby ją pocieszyć.

I podczas gdy szykowałam jej łóżko w pokoju od Bednarskiej, gdy gotowałam herbatę i postawiłam na stołku koło posłania doniczkę z pelargonią, a Teresa siedziała z twarzą oniemiałą i zaciętą, matka nasza znalazła potrzebne słowa.

— Płacz, płacz, , bidulo — rzekła tuląc Teresę w objęciach — zapłacz, to ci lżej będzie... Płacz, moja droga!... — Ale Teresa nie mogła i nie chciała zapłakać.

Spała już, gdy ojciec wrócił z budowy. — Trzeba im dać znać — rzekł — jaki to adres? Może złapię jaką ciężarówkę i skoczę... — Po co?! — krzyknęła mama z gniewem. — Jeszcze czego. Kładź się! Niech się trochę pomartwią. Taką krzywdę swemu dziecku zrobić. Toć ona ich znienawidziła — dodała ze zdziwieniem. — A może tak ich jeszcze kocha?

Pola Gojawiczyńska

Fragment powieści o odbudowie Warszawy

STEFAN NOWAK

DANTE PRAWDZIWY

Ostatnie obchody i publikacje poświęcone Leonardowi da Vinci skupiły naszą uwagę na epoce, od której słusznie datujemy erę nowożytną — na włoskim Odrodzeniu. Jeśli jednak w dziejach ludzkiej kultury sięgniemy jeszcze dalej w przeszłość do czasów, kiedy rycerskie średniowiecze przechodziło we wczesnokapitalistyczny renesans, natkniemy się na inną postać niemniejszej miary. To wielki poeta narodowy Włoch — Dante Alighieri.

O Dantem pisano u nas ostatnio niewiele. I nie zawsze rzeczy słuszne. Zajrzyjmy np. do umieszczonego niegdyś w „Tygodniku Powszechnym" artukułu Jana Parandowskiego pt. „Dante — pisarz katolicki". Nie chcę się tu wdawać w szczegółową polemikę z tym artykułem. Wydaje mi się jednak, iż słuszność umieszczonej w tytule naczelnej tezy artykułu Parandowskiego jest problematyczna.

„...Lecz w jednej rzeczy — pisze Parandowski — Dante był nieustępliwy i tak gwałtowny, iż w każdej epoce mógł mu grozić konflikt z Kościołem. Był zdecydowanym przeciwnikiem świeckiej władzy papieży".

Twierdzenie niewątpliwie słuszne ale mocno niepełne. W rzeczywistości konflikt między Dantem i kościołem jego epoki szedł znacznie dalej. Czy zachodził on w dziedzinie teologicznych dogmatów — nie wiem. Jest dla mnie natomiast zupełnie niewątpliwe, że konflikt ów sięgał głęboko w myślenie poety, docierając aż do światopoglądowych podstaw jego odczuwania moralnego. Analizą tego konfliktu postaram się m. in. zająć w niniejszym artykule.

Nieco dalej w artykule Parandowskiego czytamy:

„Namiętności polityczne Dantego bywały rozżarzone do białości — podsuwając mu słowa nierozważne i krzywdzące. Jego broszura polityczna „De Monarchia" dostała się na indeks w wieku XVI, skąd zdjęto ją z wieku XIX. Dziś patrzymy na nią jak na wygasły wulkan".

Pięć wieków musiało upłynąć od śmierci poety, by z indeksu papieskiego znikło nazwisko Dantego. Nieźle, jak na „katolickiego pisarza". Ja bym, mimo wszystko, miał większe zaufanie do tego legata papieskiego, który kazał w XIV wieku spalić „Monarchię" na rynku w Bolonii, jak i do owych teologów, którzy w dantejskiej „Komedii" uparcie doszukiwali się herezji.

*

Zdobiąc swymi wspaniałymi freskami kaplicę del Arena w Padwie umieścił Giotto na ścianie naprzeciwko drzwi scenę sądu ostatecznego. Lewą stronę fresku zajmują zbawieni, prawą potępieni. Wśród zbawionych wybija się wyraźnie na pierwszy plan grupka kilku postaci: stojący pod krzyżem aniołowie przyjmują z rąk bogato ubranego klęczącego mężczyzny dar — kaplicę. Mężczyzną tym jest fundator kaplicy del Arena i fresków — Enrico Scrovegni, znany bankier i lichwiarz z Padwy.

Ród Scrovegnich miał szczęście do wielkich mistrzów swojej epoki, trafił bowiem również do „Boskiej komedii". Ale tu już... na nieco mniej poczesne niż u Giotta miejsce. Opisując cierpienia lichwiarzy w trzecim kręgu siódmego koła piekieł, Dante pisze:

A w tem duch, co miał błękitnej maciory
Znamię kreślone na woreczku białym
Rzekł do mnie „Po coś wszedł do strasznej nory"...
...Skrzywił się, język wyciągnął plugawie
Podobien nozdrza liżącemu byku 2)

Tak wielka różnica „kątów widzenia" tych samych spraw i ludzi u dwóch współczesnych sobie mistrzów jest czymś, co budzi zastanowienie i każe szukać wyjaśnień. Giotto był w epoce swojej człowiekiem na wskoś „nowoczesnym". Doceniał wartość pieniądza i siłę, jaką on daje. Podobno nawet miał pomnażać honoraria za swe wspaniałe freski, wypuszczając je na wysoki procent. W każdym razie wyraźnie wiązał się z plutokratycznymi mecenasami sztuki, rzeczywistymi władcami „demokratycznych" komun miejskich.

A Dante?...

Zanim odpowiemy na to pytanie, spróbujmy umieścić go na tle jego czasów.

*

Jesteśmy więc we Włoszech, ściślej we Florencji ostatnich dziesięcioleci wieku XIII. Przed nami rozgrywa się ostatni akt dziejów rycerskiego średniowiecza. Wśród wstrząsów i zaburzeń, wśród dziesiątków wypraw wojennych, bitew i oblężeń, paktów, sojuszy i zdrad trudno w pierwszej chwili uchwycić jakąś zasadę klasowego przyporządkowania. Powoli jednak obraz się wyjaśnia i zaczynamy odróżniać głównych aktorów dramatu dziejowego od statystów choćby najgłośniejszych i przed samą widownią się ukazujących.

Jesteśmy we Włoszech — ojczyźnie głownego ideologa feudalnego średniowiecza, Tomasza z Akwinu. Przypomnijmy więc sobie z grubsza najważniejsze rysy tej ideologii: oto w ustanowionym przez Boga społeczeństwie stanowym każdemu stanowi przeznaczony jest odpowiedni styl życia, odpowiednia ilość dóbr tego świata i właściwe pochodzeniu zadanie do spełnienia. Zadaniem dobrze urodzonych jest rządzenie, zadaniem gminu — praca.

Wśród źle urodzonych — jednych (np. rzemieślników) otaczał Tomasz ciepłą „opiekuńczą" sympatią. Wobec innych — kupców — nie ukrywał daleko idącej rezerwy. Nic dziwnego, kupcy właśnie bowiem dzięki wcześnie zdobytej stosunkowo wielkiej mocy ekonomicznej stali się awangardą ataku na pozycje stanowych przywilejów rycerstwa.

Firmy kupieckie przekształciły się w potężne domy bankierskie, nie rezygnując równocześnie z dochodów, jakie dawało rozciągnięcie kontroli finansowej nad całymi gałęziami rzemiosła (szeroko rozwinięty system przedsiębiorców—nakładców.).

Toczy się w tym czasie ze zmiennym szczęściem zawzięta walka pomiędzy dwiema głównymi siłami politycznymi średniowiecza — papiestwem i cesarstwem o władzę nad Italią i światem zachodnim. Włoscy zwolennicy cesarza nazywają siebie Ghibellinami i są otwartymi zwolennikami i obrońcami rycerskich przewag i przywilejów. Natomiast ich przeciwnicy, związani z Kurią Rzymską Gwelfowie chcą zastąpić dominację szlachetnie urodzonych przez dominację ekonomicznie najpotężniejszych. Jednocześnie ghibellińskiemu ideałowi zjednoczenia świata pod berłem cesarza przeciwstawiają hasło autonomii potężnych gmin miejskich.

W szeregach Gwelfów obok wzbogaconych rodów mieszczańskich nie mniejszą bynajmniej rolę odgrywają te rody szlacheckie, które zrozumiały, że kapitał może stać się jeszcze skuteczniejszą podporą potęgi niż włości ziemskie czy przewaga oręża. Wchodzą one w liczne alianse małżeńskie i handlowe z rodami mieszczańskimi. W zamian za tytuły szlacheckie i rycerski styl życia, skwapliwie przez nuworyszów naśladowany, uczą się od nich szacunku dla pieniądza i racjonalnego nim gospodarowania.

O osobliwości kulturalnej tego rycersko - mieszczańskiego stopu niech świadczy przykład następujący:

Zdarzyło się we Florencji owego okresu, że członkowie rodu Veluttich wypełniając wiszący nad nimi od dziesięcioleci obowiązek krwawej pomsty zabili młodego członka rodu Manelli. Nic to, że to nie on, ale jego przodkowie winni byli zbrodni wobec Veluttich, nic to, że w okresie kiedy spełniała się ta zbrodnia, młodego Manelliego jeszcze nie było na świecie. Nakazy rycerskiego honoru domagały się krwi za krew — osoba była nieważna, wystarczyło, że była z tego samego rodu.

Ale Velutti byli nie tylko ludźmi honoru. Byli także dobrymi kupcami; kiedy więc władze miejskie skazały ich za tę zbrodnię na wysoką karę — wpłacili zasądzoną kwotę wpisując ją jednocześnie do... ksiąg swego przedsiębiorstwa pod rubryką „Koszty". *Mało tego.* Ojcowie miasta obawiali się, że wychowawcze skutki kary pieniężnej nie będą dostatecznie trwałe. Wzięli więc za kark przedstawicieli obu rodów, zaprowadzili do rejenta i kazali *notarialnie* zrzec się praw do dalszych odwetów i przelewów krwi. Takie to niekiedy sprawy załatwiano notarialnie u progu kapitalizmu.

*

Była w średniowiecznej Florencji jeszcze jedna siła polityczna, z którą liczyć się poważnie musieli zarówno Gwelfowie, jak i Ghibellini — siłą tą był lud.

I tu znów trzeba pamiętać o historycznej specyficzności tego terminu. Florencki „popolo" składał się z przedstawicieli warstw średnich — w zasadzie rzemieślników zrzeszonych w cechy, i miał głębokie poczucie własnej stanowej godności, poczucie wyższości nad niezorganizowanym i pozbawionym jakichkolwiek praw politycznych gminem — „plebe minuta".

W zażartych bojach Gwelfów z Ghibellinami o władzę polityczną i strukturę administracyjną miasta, bojach wypełniających drugą połowę XIII wieku w dziejach Florencji — lud w zasadzie wybierał mniejsze zło i popierał Gwelfów w zamian za coraz to nowe ustępstwa dla siebie. Daleki był jednak od utożsamienia swoich interesów z interesami nowej szlachecko-mieszczańskiej magnaterii finansowej. Kiedy doszło w latach 1293—1295 do pełnej dyktatury klas średnich, to pierwszym aktem wzburzonego wyzyskiem i gwałtem możnych „ludu" było całkowite odsunięcie „magnatów" od wpływu politycznego na losy miasta. Przeciwko częstym wówczas gwałtom magnatów wobec przedstawicieli klas niższych uchwalono szereg ostrych przepisów karzących surowo najlżejsze wykroczenia. I zgoła nie robiono różnicy w wymiarze sprawiedliwości pomiedzy Gwelfami a Ghibellinami, co jest dostatecznym dowodem ostrości konfliktów klasowych w łonie mieszczaństwa.

Często przeciągały wtedy przez miasto tłumy uzbrojonych szewców, rzeźników czy kramarzy, biegnących w stronę pałacu magnata, który był winny zbrodni na osobie „popolana". Na czele ich ze sztandarem w ręku kroczył „chorąży sprawiedliwości", obdarzony nadzwyczajnymi pełnomocnictwami strażnik i obrońca praw ludowych. Za nim wśród tłumu mieszczan szło kilka setek murarzy niosących bosaki i drągi żelazne. Przybywszy na miejsce „popolani" otaczali zbrojnym murem siedzibę winnego, a murarze.... rozbierali ją do fundamentów. Wymiaru klasowej sprawiedliwości dokonywano przy biciu w dzwony i dęciu w trąby, przy czym dopóki choć jeden kamień domu stał na swoim miejscu, zwykłe życie miasta było zawieszone.

*

Dyktatura ludowa trwała krótko i Gwelfowie ponownie, tym razem już na długo, uzyskują przewagę w mieście, mimo iż formalnie obowiązuje demokratyczna konstytucja, w myśl której władza w mieście należy do cechów. Na okres ów przypada właśnie początek działalności politycznej młodego szlachcica z rodu gwelfickiego, a zarazem członka cechu aptekarzy i lekarzy, nazwiskiem Dante Alighieri. I w tym samym okresie rozpoczyna się rozłam w stronnictwie Gwelfów.

Nie tu miejsce na szkicowanie wszystkich subtelności politycznych owego rozłamu. W każdym razie z grubsza biorąc właściwy nurt gwelficki — kontynuujący politykę sojuszu z papieżem na zewnątrz, a rządy plutokratycznej „demokracji" wewnątrz — skupił się w grupie „czarnych". „Biali", dla odmiany kokietując lud oburzony na nowe rządy „magnatów", zerkali zarazem w stronę Ghibellinów. Społecznie byli trzonem niejednolitym: od ghibellińskich obrońców szlacheckich przywilejów, poprzez „umiarkowanych" Gwelfów, aż do zwolenników partii ludowej. Łączyła ich nienawiść do „czarnych" i wola obrony niepodległości Florencji przed zakusami papieża Bonifacego VIII.

Kiedy zdobywszy przy pomocy wojsk papieskich władzę we Florencji „czarni" wyślą „białych" na wygnanie, to w pierwszej porcji wygnańców politycznych znajdzie się ów wspomniany już wyżej młody szlachcic i jeden z najaktywniejszych wrogów „czarnych" i papiestwa, a zarazem fanatyczny obrońca niepodległości Florencji przed apetytem Bonifacego VIII -- Dante. Na wygnaniu tym spędza już resztę życia (1302 — 1321) Czas tułaczki upływa mu na energicznej działalności politycznej przeciw gwelfickiej Florencji, która mu za to odpłaci mianem Ghibellina i zaocznym wyrokiem skazującym go na spalenie na stosie.

Poza tym pisze „Komedię".

*

Pisze ją człowiek dojrzały, gorzko doświadczony przez dzieje tułaczego życia. Pisze ją banita w okresie rozkwitu potęgi jego wrogów politycznych, w okresie bezpowrotnego upadku idei cesarstwa. Pisze ją człowiek, który umiał kochać równie namiętnie jak nienawidzić. I który umiał mścić się na swoich wrogach swoją najpotężniejszą bronią — piórem.

Nic nie jest bardziej obce poecie niż postawa chłodnego obserwatora wobec widzianych spraw i ludzi. Nawet w najwyższych rejonach raju wracają doń sprawy ziemskie, z którymi był tak silnie związany. Dysputy teologiczne o miłości czy o ładzie stworzenia przerywa co chwila dla rzucenia porcji gromów na zepsucie czasów nowych, na rozpustę kleru, czy zachłanność kurii rzymskiej. Dwie te sprawy ciągle niemal wracają w licznych, rozsianych po tekście dygresjach, budząc w nim niesłabnący gniew i wzburzenie.

O kościele i o papiestwie mówi się w „Komedii" bez przerwy, a jednak poety nie zawodzi wyobraźnia i pomysłowość w wynajdywaniu nowych, coraz cięższych zarzutów czy odpowiednio plastycznych opisów.

Oto świętokupczy papieże sterczą w ognistych studniach głową w dół. Nie brak tam żadnego ze współczesnych poecie biskupów rzymskich włącznie z kanonizowanym przez kościół Celestynem V. Poeta tak się do nich zwraca:

Hej powiedzno mi, jakiej to mamony
Żądał od Piotra Pan zdając mu klucze...
...Podczas kiedy sami takim szydem bryzną
Snać gniew lub żarły go w sumieniu grzechy
Duch obu łydek wytrząsał golizną...3)

W raju wśród grania niebiańskich sfer i chóru aniołów, wśród budujących rozmów ze świętymi pańskimi padają słowa:

Dzisiejszy pasterz tak się nie utrudzi
Ma po pachołku z tyłu i na przedzie
Z prawej i lewej wspiera go dwóch ludzi.
Pod jednym płaszczem koń i jeździec jedzie,
Tak, że dwie bestie chodzą w jednej skórze
O cierpliwości, gdzie nas to zawiedzie! 4)

A jeszcze dalej mówi Piotr o papieżu Bonifacym VIII:

Ten, co przywłaszczył sobie na opoce
To moje miejsce....
...Zmienił mych kości cmentarne pokoje
W krwi i plugastwa cuchącą kałużę
Uciesznе ducha upadłego zdroje. 5)

Żeby zrozumieć siłę i pasję tych ataków, musimy uświadomić sobie, że napisano je u schyłku średniowiecza. Słowa te powstały w kilkadziesiąt lat po Summie Tomasza z Akwinu, w epoce, kiedy klątwa papieska potrafiła zachwiać potęgą tronów, kiedy biskup rzymski zmuszał do posłuszeństwa najbardziej harde firmy bankierskie Florencji, zwalniając ich dłużników od obowiązków płacenia długów.

„Komedia" jest świadectwem, iż bunt Dantego przeciw moralnemu monopolowi Kościoła szedł daleko. Że wykraczał on poza zwykłą nienawiść wobec aktualnego wroga politycznego przechodząc na płaszczyznę *zasadniczego konfliktu światopoglądowego.*

*

Ale przedtem mała uwaga.

W poemacie Dantego jest wiele dygresji przerywających tok akcji dla bezpośredniego sformułowania stanowiska autora wobec „mniej zaświatowych" spraw i wiedza, jakiej dostarczają nam one o myśleniu poety jest dość rozległa. Ale byłoby niewybaczalnym błędem, gdybyśmy się nią zadowolili. Gdybyśmy szukając ideologicznego sensu, klasowego rodowodu dzieła, poprzestali na tym, co nam o swoim stanowisku chciał i mógł powiedzieć autor. Gdybyśmy się nie zastanowili nad społeczną *genezą jego całej moralności,* gdybyśmy nie poszukali rodowodu jego systemu ocen i wartości moralnych, którego wyrazem stała się „Boska Komedia".

I oto już pobieżna analiza dantejskiej moralności wykazuje, iż mimo potężnego działania monopolu moralnego kościoła system wartości moralnych leżących u podstaw poematu nie jest całkowicie wyznaczony przez obowiązującą etykę kościelną.

Etyka „Boskiej Komedii" jest tworem bardzo skomplikowanym, na który złożyły się różne kręgi ideologiczne, ale w zasadzie jest ona rezultatem zderzenia ideologii rycerskiej z ideologią kościelną. A więc jest wyrazem konfliktu ideologicznego głównych sił politycznych średniowiecznego feudalizmu, któremu w płaszczyźnie politycznej odpowiadała walka papiestwa z cesarstwem. W każdym razie „modyfikacje" wprowadzone przez ideologię rycerską do obowiązującej wówczas oficjalnie etyki kościoła idą bardzo daleko.

1) J. Parandowski, „Tygodnik Powszechny", 23. 11. 1947 r. „Dante — pisarz katolicki".
2) Piekło — Pieśń XVII. Cytaty, przy których nie podano tłumacza: przekład E. Porębowicza.
3) Piekło, pieśń XIX.
4) Raj, Pieśń XXI.
5) Raj, Pieśń XXVII.

Dokończenie na str. 7-ej



Dante Alighieri

JULIAN PRZYBOŚ

U SZKOLNEJ MUZY

Po długich latach, wróciwszy, idę tą samą aleją,
ale cienistszą niż niegdyś, a tak gwałtownie pustą,
jak gdyby w niej czas ustał,
świat zanikł,
oplecioną gałęziami wokół
jak kokon
z dziurą, z której wyfrunął jedwabnik.

U wylotu, nikogo ni ziębiąc ni grzejąc,
pomniczek bohatera miejscowej zasługi
świeci czołem w upale.
Opodal, gdzie dorastał zagajnik przyległy,
leży ścięty las czasu jak długi
i płynie po minionych latach rzeka dalej,
potoczyściej i szumniej,
jak gdyby z pni leżących jak z drzewców rozwinąć
miała płynną chorągiew ku mnie:
odbitą w fali czerwień nowej szkoły z cegły.

Pod oknami, gdzie słońce pławi się w piwoniach
przelewających barwę jak krew na zieloność
trawnika, równocześnie — z nagła brązowego,
ważka mierzy co sekunda zwiewnym metrem
bławatowe nic.

To tu skrócik skrzydlatego konia, pasikonik
znikł.
Dosiedliśmy go w dzieciństwie, „wzbitym w radość" podzieloną
przez owo nic — a nic smutku,
a dziś — patrz! — w roziskrzonych puchach mlecza,
w szczerem polu, w szczerem
powietrzu
utknął?
Nie, to z furtki ogródka idą mi dzieci —
nie: byli moi uczniowie naprzeciw.

Towarzyszko każdego dzieciństwa, Nauczycielko,
prześpiewująca mój rym, głoskobarwę wszelką,
Eufonio w różowym szaliku!
Znów młoda biegniesz, powiewając niebieską chusteczką,
by wywołać wieczór —
i powłóczysz patrząc moim spojrzeniem wysoko,
gdzie mała zorza zniża się na cokół
i rudzieje w brązowej brodzie na pomniku,
żeby, gdy cię obejmę, w zaśnięciu zaniknąć.

Z MALARZEM

Wacławowi Taranczewskiemu

W wyścigu ku Wiśle alej
dziś o świcie mnie dopędził
wiatr z zalążkiem woni: ciepłem.

Z pąka w pąk strzelił liść,
prosto jak strzelił, do celu: dereni
pobiegłem!

Przyjacielu,
ze słońcem wyjdź,
patrz, oczy zaleś tym liściem!

Drzewo do drzewa z rudożółtych gałęzi
podbiegło i podało płomień wiosny dalej,
z doliny dymi zieleń
i szerzy się pożar wzrostu rozłożyście!

Ty wznosząc wysokopiennej
wzrok, rozetrzesz farbę w pąkach
na kolorowanie kwiatów;
a ja niskie pniaki bielę.

Śpiesz, a płomienia kolorów nie załtum,
a uciekaj do rzeczywistości,
do dziewczyny zmieniającej chorągiewką ruch na moście,
śpiesz, przemaluj jej okrągłą twarz na słonko!

Ja, by zarobić wiersz,
żeby się w ogonie spraw — co z tego, że pawim! —
nie błąkał
wiewem nikłym,
gdy nie bywam poetą, bywam ogrodnikiem:
pielę,
grabię żwir na ścieżkach,

— — — — — — — — — — — —

umiem znaleźć fiołek w trawie
pod stopą każdego dziecka.

ZYGMUNT MACHNIKOWSKI

Pieczone kartofle, machorka



rys. D. Konwicka

Cóż to za rozkosz mieć świadectwo szkolne w kieszeni (pewnie, że z piątkami!), i na bosaka po łąkowych drogach biec na wieś do dziadków. Na dwa kilometry przed moją wsią Cerekwią widziałem stado pasących się krów, bo w mojej wsi krowy pasły się wspólnie. Od chałupy do chałupy — noszono sękaty kij, który był symbolem obowiązku, a kiedy przynieśli go do mojego dziadka, to znaczyło, że przez trzy dni — gdyż dziadek miał dwie krowy i jałówkę — będziemy paśli gromadzkie stado na serwitutach pod cerekiewskim lasem. Pasłem ja, mój dziadek, dwóch moich ciotecznych braci Heniek i Tadek, i ciągle zaśliniony, niedorozwinięty Franio Kostków. Ten Franio Kostków (Kostek miał na imię jego ojciec) był właściwie wspólną własnością całej wsi. Zapyziały, wzgardzony przez rodzinę, żywił się tym, co mu dawali gospodarze za pasienie krów i noszenie wody ze wspólnej, gromadzkiej studni. Moja babka przeznaczyła dla niego specjalną miskę glinianą i drewnianą łyżkę od czasu, kiedy obrzydziłem sobie jedzenie patrząc na jego ciągle zaślinione wargi. Ale przecież to był dobry, nieszczęśliwy człowiek. I nikt we wsi nie robił mu krzywdy. Wieś miała swoją moralność i biada temu, kto by ją naruszył.

Wieś, chłopi mój dziadek — to dla mnie były i są pojęcia nierozłączne. Bo dziadek był chłopem z prawdziwego zdarzenia, chłopem minionej wsi. Widzę jego małą postać, grube spracowane ręce i ten znamienny chód: krótkie i szybkie kroki. Wszystko robił z pośpiechem, jakby obawiał się, że nie zdąży. A przecież żył tak długo. Nosił wąsy i brodę i był we wsi szanowany. Bo jak we wsi komuś trzeba było porady i decyzji, to mówił: — „Póde do Józefa, to dopiro powiem, co i jak".

Ale właściwie prawie wszystko, co piszę o moim dziadku, odnosi się i do jego rówieśników. Do Kostka Jabłońskiego i do Bartka, i do Stępnia i do kowala Wachnickiego. Jakże podobne było ich ciężkie życie. Przecież oni wszyscy nosili buty na laskach, gdy szli do Radomia, i zakładali je dopiero na przedmieściu koło cmentarza ewangelickiego. Przecież oni wszyscy kurzyli suszone wiśniowe liście, bo paczka czarnej machorki kosztowała 30 groszy i trzeba było na nią sprzedać aż sześć jaj. Wszyscy oni nie używali do mycia mydła, bo było za drogie, chyba że przy wielkim święcie. Przecież oni wszyscy nie umieli czytać ni pisać, i żaden z nich nie czytał do końca życia gazety ani książki, a filmu wielu z nich nawet sobie nie wyobrażało.

Przepraszam. Dom Wachnickiego był bardzo „kulturalny", bo posiadał „najpiękniejsze" dzieło świata, tajemnicze przepowiednie Sybilli. W zimowe wieczory przy ledwie migocącej lampce naftowej, bo nafta była droga, a szkiełko do lampki kosztowało aż 12 groszy, i biada temu, kto by je stłukł, siedzieliśmy na ciepłej lepce (przybudówka do pieca, ogrzewana) i słuchaliśmy, jak najstarsza córka kowala Wachnickiego dukała z tajemniczych stron o przyszłych wojnach, o niezwykłych znakach na niebie i wreszcie o końcu świata. Dreszcz grozy elektryzował nasze ciała (to była swego rodzaju ówczesna, kapitalistyczna elektryfikacja wsi) i tuliliśmy się do siebie. Tym sposobem wszy Wachnickiego czy Jabłońskiego żyły także po sąsiedzku. Tylko Franio Kostków z szeroko otwartymi ustami i osłupiałym ze strachu wzrokiem „corchał" się samotnie w rogu lepy.

A któż wtedy z uczciwych ludzi w mojej rodzinnej wsi nie miał w zimie wszy?... No, nie było ich na plebanii. Ale były już w organistówce, bo dziad kościelny, stary Walek, często iskał bieliznę. Chyba też nauczyciel Kozioł nie miał wszy. Jak to dobrze, że wtedy spaliśmy we czterech na żelaznym łóżku. Ja z Tadkiem „na wprost" i Heniek ze Staśkiem „na orła". Bo gdybym sam spał, to nie wiem, co by było. Długo po tym czytaniu „Sybilli" nie mogłem usnąć. Patrzyłem z przestrachem w okno, czy niebo nie pęka na pół, czy od razu się wszystko nie przemienia tak jak u Bartka w każdy czwartek wieczorem, kiedy po targu wracał pijany i robił w swojej chałupie „koniec świata".

Ech, szczęście zdrowego człowieka nie jest wybredne. Może twardo stać na bosych nogach i z rozkoszą zajadać młode kartofle pieczone na pastwiskowych krowieńcach. Dziadek zabierał babce sól i zapałki (ho ho, to też nie było takie łatwe), a myśmy zbierali pod lasem suche krowieńce na ogień. A prawdziwa przyjemność zaczynała się potem. Pieczenie kartofli miało swoją przyczynę. U Józefów, Bartków, Kostków i Felków — krótko mówiąc prawie we wszystkich chałupach — odżywiano się jednakowo. Rano „horsc" z kartoflami, w południe ten sam i na wieczór ciepłe „mliko" z chlebem. Dlatego nasze pieczone kartofle były rarytasem.

A skąd u nas pastuchów zawodowych i amatorów wakacyjnych wziął się Wiktor Hugo? Z kim i kiedy przyszedł? Przyszedł wtedy, pamiętam, gdy dziadek mój „zmobilizował" babce dziesięć jaj i za otrzymane 50 groszy kupił paczkę czarnej machorki i dwie książeczki bibułek do papierosów, i niczym nauczyciel Kozioł zaciągał się z lubością, pykając przy tym oryginalnie wargami. Odbywaliśmy w starym składzie kolejkę w pasieniu gromadzkich krów. Wtedy Wiktor Hugo przyszedł ze mną. Pewnie że nie w całej okazałości swego geniuszu, bo miałem wtedy 14 lat, i moja znajomość pisarza ograniczała się do „Nędzników"; ale Valjean i jego twórca pasowali do nas i dalibyśmy im najlepiej upieczonych kartofli.

Dziadek przerwał mi ciche czytanie „Nędzników". — „Wnusiu, powiedzno, co tam stoi!" Zacząłem czytać głośno, ale po pewnym czasie zauważyłem, że mogę zmęczyć czytaniem, boć to przecież tyle materiału. I zacząłem opowiadać. Chłop zrozumiał galernika. Nawet powiedział, że to tacy, jak u nas s y b i r a k i.

Trudniej było chłopu zrozumieć, że ten galernik tak ze wszystkim dał sobie radę, bo życie mojego dziadka ograniczało się do czterech stałych punktów. Pierwszy i zasadniczy punkt — to chałupa, w której się urodził, drugi — to kościół, w którym go ochrzcili i w którym wziął ślub, trzeci — to miasto, do którego woził żyto i kartofle, a czwarty — to cmentarz, na którym zawczasu upatrywał miejsce na swój grób. I niechno by tak zniknął któryś z tych punktów, dajmy na to chałupa. Powiecie, postawi nową. Hm. Nie tak łatwo. Tę chałupę o grubych, dębowych belkach i glinianej podłodze stawiał nie dziadek, ale jego ojciec, i jak się okazało postawił ją dla dzieci prawnuków.

Na drugi dzień łapałem z dziadkiem karpie siecią i po prostu przeziębiłem się. Doznałem wówczas, po raz pierwszy w życiu, najczulszej opieki. Babka stosowała lecznicze środki, niezawodne we wszystkich chorobach. Przede wszystkim ugotowała mi „jojko" i zaparzyła herbaty, co było szczytem delikatnego obejścia. Po tym zabiegu każda choroba powinna odejść, nawet ospa mojej ciotki; ospa po „jojku", herbacie, bańkach i pijawkach odeszła, ale na pamiątkę pozostawiła dzioby. Ja nie chciałem baniek ni pijawek i na drugi dzień wstałem, bo po co to cackanie, chyba dlatego, że uczyłem się w mieście. Ale czyż nie jestem synem chłopów, którzy w życiu tylko raz naprawdę chorują, ale potem wynoszą ich prosto na cmentarz. Moi dziadkowie i ich rówieśnicy: Bartek, Kostek, Felek, dwunastomorgowi gospodarze, ani razu w swoim długim życiu nie zetknęli się z symbolem współczesnej cywilizacji — z pociągiem i doktorem.

Wesoło było w mojej wsi, gdy nieraz wieczorem na okrągłym rynku zeszedł się Jankiel, Franio Kostków i Leonka. Jakiel był małym, bosym, głuchym Żydem, który kupował na wsi mleko, nieraz króliczą, zajęczą czy cielęcą skórkę, i wiózł to wszystko codziennie dziesięć kilometrów na małym wózeczku ciągnionym przez kudłatego, śmiesznego kucyka. Jankiel nie jechał na wózku — dreptał za nim bosymi stopami; kucyk nie był większy od Bartkowego psa. Jankiel był głuchy i rozumiał życzenia chłopów tylko po ruchu warg. A kiedy mijał którąś zagrodę, to na wołanie gospodarza reagował kucyk, który sam skręcał z wózkiem, i w ten sposób pomagał w pracy poczciwemu, staremu Jankielowi. Jankiel miał przy sobie igły, grzebienie, lusterka, nici, guziki, koronki i można było te towary kupić albo wymienić.

Leonka znowu była starą panną, nieszczęśliwą niewiastą, którą uważano za pomyloną, a właściwie to tylko „za mocno" bito ją w głowę po przedwczesnej śmierci matki, gdy Leonka była małą dziewczynką. Ona również uważana była za wspólną własność całej wsi. Dawano jej jeść za pomoc w gotowaniu, w darciu pierza czy przy szyciu w rękach zgrzebnej, chłopskiej bielizny. Największej naiwności okazywała w kojarzeniu własnego małżeństwa. Toteż żeniono ją ze wszystkimi — nawet ze starym Jankielem, który był wdowcem. Leonka dbała o względy Jankiela, bo często dostawała od niego lusterka, które z kolei dawała chłopakom dla pozyskania ich sympatii.

Rozmowa tych trojga była naprawdę zabawna. Kudłaty Franek Kostków nachylał się do ucha głuchego Jankiela, a gdy ten miał już dość, cofał się energicznie, czyścił ucho ze ślin i rozkrzyżowywał ręce na znak, że w dalszym ciągu nic nie rozumie. I wreszcie pomoc Leonki doprowadzała do porozumienia. A chłopi zgromadzeni pod kuźnią mieli nie lada uciechę, toteż chichotali, aż ich kolki kłuły w obydwu bokach.

Za cmentarzem droga była piaszczysta i Jankielowy kucyk nie wyciągnąłby wózka, gdyby nie pomoc Frania, Leonki i samego Jankiela. Za tę pomoc Leonka dostawała często grzebienie, lusterka, guziki i koronki, a za pieniądze kupowała sobie na odpuście cztery pęta obwarzanków na sznurku, które przewieszała dumnie przez plecy i chwaliła się wszystkim, że dostała je od „kawalira" w dowód miłości; cała wieś pękała ze śmiechu, bo wszyscy wiedzieli dobrze, że to za pieniądze Jankiela. Franio Kostków dostał także od Jankiela lusterko i grzebień, którym nie mógł rozczesać swoich włosów, a za pieniądze kupił sobie wreszcie nowy kaszkiet i cajgowe portki, bo stare były już bardzo niedyskretne. Śmieszny, kudłaty kucyk, pomagający w realizacji owoczesnej spójni między miastem a wsią, piaszczysta, chłopska droga i ta trójka nieszczęśliwych obdartusów, Jankiel, Franio i Leonka — to dawna wieś, dla której grzebień i lusterko były luksusem. A współpraca tej trójki, to symbol wspólnej niedoli proletariatu polskiego i żydowskiego.

Nad moją rodzinną wsią prażyło lipcowe słońce, które było wspólnym, niezużytym zegarem ostrzeszonych wiosek w dawnej Polsce. Cywilizowani ludzie w miastach, zrywający regularnie kartki z kalendarza, wiedzieli, że był to rok 1936. Ale w mojej wsi nie wszyscy rówieśnicy mojego dziadka znali dokładnie daty swojego urodzenia, i w ogóle nie przywiązywali większego znaczenia do czasu ujętego w lata, miesiące, godziny, nie mówiąc już o minutach. Jedni mówili, że kończą lata na wiosnę, inni — na jesień, jeszcze inni, bardziej przezorni, że na „matki Moski Szkaplirzny". A znalazł się jeden, który przez pięć lat miał niezmiennie osiemdziesiąty rok życia. Bo jakże mógł uwierzyć, że ma już 85, kiedy usunąć kamienie z rynku i naprawić nimi drogę postanowiła gromada jeszcze za życia jego nieboszczki żony. I kamienie leżą, i droga wyboista, więc chyba niemożliwe, żeby już minęło tyle lat.

Na drodze od Radomia, przed kuźnią kowala Wachnickiego, zebrała się gromadka ludzi. Po zachodzie słońca i jeszcze przed żniwami można trochę odpocząć i pogawędzić.

Rozmawiający spostrzegli przechodzącego chłopaka, który po ukończeniu wiejskiej szkółki chciał dostać się do średniej szkoły w Radomiu. Ktoś krzyknął: — „Tadek, przyjęli cię?" — Chłopiec nic nie odpowiedział, nasunął mocniej kaszkiet, machnął ręką i ociężałym krokiem poszedł dalej. — „Najzdolniejszy w całej wsi" — oznajmili szybko jego koledzy. — „I żeby nie przyjąć chociaż jednego ze wsi" — słychać było głosy oburzenia. — „A co panowie będą robić, jak się chłopy będą uczyć?" — dorzucił kowal Wachnicki. — „Święta prawda" — przytaknęli wszyscy. — „E, może kiedyś przyjdzie czas, że chłopy będą się uczyć, będą czytać gazety, będą się leczyć, będą palić światło elektryczne w chałupach i słuchać radia, a może nawet będą oglądać filmy w swojej wsi" — wyrąbał jednym tchem Stasiek Tkaczyk, przezywany „bolszewnikiem". Cisza zapanowała, a po chwili dziadek mój, ciężko podnosząc się z ławy na sękatym dębczaku, powiedział: — „A no, wy młodzi macie przetarte oczy i powinniście inaczej żyć".

Dziadkowie moi i ich rówieśnicy Bartek, Kostek, Felek i Antek, 12-morgowi gospodarze Cerekwi pod Radomiem, nie żyją już od kilkunastu lat, ale jeżdżąc po wsiach naszego kraju i po wsiach Lubelszczyzny, spotykam twarze i sylwetki Bartka, Kostka, Felka i Antka — jakże do złudzenia podobne do cerekiewskich gospodarzy! Tak podobne, że nawet zgodziłbym się zamienić ich portrety. Nie. Jednak to są inni ludzie. Zmienili się, bo zmieniło się życie.

Zakurzony białym, wapiennym pyłem biłgorajskiej szosy wszedłem na pola spółdzielni produkcyjnej w Księżopolu. Z dala widziałem budującą się nową oborę i chlewnię. Zgłosiłem się do sekretarza Komitetu Gminnego PZPR. Była to wiosna 1951 roku. Wysuszyłem mokre buty przy piecu. Sekretarz dał mi swoje gumowce, bo błoto było nieliche. I do roboty. Sala była pełna. Młodzi nauczyciele pomogli przy rozkładaniu map. Spółdzielcy z ciekawością czekali na rozpoczęcie. Rozpocząłem. Byłem w swoim żywiole. A co to znaczy? To znaczy, że ryba radośnie pływa w wodzie, lotnik lata w przestworzach, szofer prowadzi auto, murarz muruje, a ja wsłuchanym w moje słowa ludziom chcę najlepiej jak umiem, najzrozumialej przedstawić walkę człowieka z przyrodą. A nawet już nie walkę z przyrodą, lecz walkę o przeobrażenie przyrody. Gdzie? A no, w największym na świecie państwie robotników i chłopów.

Słuchają. Martwa mapa zaczyna żyć. Płyną wielkie azjatyckie rzeki Ob i Jenisiej. Ho, nie takie, jak nasza Wisła. Pędzą pociągi z robotnikami do Kujbyszew-hydrostroju i do Stalingradu. Wiatr powiał po sali. Zwykły biłgorajski wiatr. A tu na mapie dmą „suchowieje". W odwiecznych, olbrzymich bagnach syberyjskiej tundry grzęźnie jakiś zwierz. Na Kara-Kum wiatr gna chmury piasku. Przez Step Głodowy pędzi wiatr. Barchany piasku wyrastają w góry. Pod jadącą karawaną rośnie otchłań. W oczach piach, w ustach piach, w uszach piach, w gardle piach. Sił już brak. Cisza. I na pustyni — niby nic — wschodzi promienne słońce. W przestworzach pędzi samolot cysterna — wiezie słodką wodę dla robotników kopalni siarki. A potem... Potem zabłysły światła w Tachia-Tasz. Zabłysły światła w delcie „wściekłej" Darii. To robotnicy Kraju Rad wracają życie „matce urodzaju". Słodka, perlista woda popłynie hen, do Krasnowodska. Słodka perlista woda rozleje się po pustyni jak wino po kielichach. Czarne karakuły o szmaragdowych, błyszczących oczach będą pędzić stadami ku chwale człowieka. W oliwnych gajach odpoczną ludzie. Kwiaty bawełny jak śnieg pokryją szerokie pola. Dla szczęścia ludzi, dla każdego człowieka. A tam na północy stary Ob powróci w dawny bieg. Przypomni mu to radziecki człowiek. Radziecki człowiek rzeki skuł, by mu dawały siłę. Żłobi koryta nowych rzek i nowych mórz. By ożył kamienny step, by na pustyni było życie, by przeklęty, suchy wiatr rozpłynął się w przestworzach — radziecki człowiek sadzi las.

Dyskusja. Ten w rogu, podobny do kowala Wachnickiego z mojej rodzinnej wsi, trzymający papachę w dużych, mocnych rękach, zdecydował się na zabranie głosu. I zaczyna mówić, że siła w narodzie jest olbrzymia, jak wszyscy razem jednego chcą, to dokonają — i pustynia zakwitnie, i bagna obeschną, i rzeki będą pracować, i suchy wiatr przestanie wiać, i ludzkie łzy obeschną. Bo on tam był i widział Wołgę, płynął przez Bałchasz, płynął przez Bajkał, był w Irkucku. Bo jak ludzie chcieli, to i u nich w Księżpolu już jest inaczej. Jest nowa szkoła, budują obory i chlewy. Będzie światło, będzie radio. Przyjeżdża kino objazdowe. Spółdzielcy czytają gazety. Agronom i zootechnik pomagają w gospodar POM daje maszyny. Musi być lepiej i jest lepiej.

Na drugi dzień szedłem dalej do Płus i Tarnogrodu. Na szosie przejeżdżający chłop krzyknął: „Obywatelu, wy dokąd?"

— „Do Tarnogrodu".

— „Siadajcie, podwiozę. Wy chyba z Lublina?"

— „No niby. A co wy tak dyszycie?" — zapytałem.

— „A dyć jeszcze sprzed wojny mam coś z sercem nie w porządku".

— „To leczyć się trzeba".

— „Zbieram się tego lata, ale jakoś nie mam odwagi".

— „Do leczenia nie trzeba odwagi, ale czasu".

— Czas to by się znalazł, ale ja nie wiem, czy to co pomoże".

— „Spróbujcie, to będziecie wiedzieli".



rys. D. Konwicka

— „No, to powiedzcie — zwrócił się do mnie — czy w tych Cieplicach mogą mi naprawdę pomóc?"

— „Chcą was wysłać do Cieplic?" — zapytałem.

— „A no tak, mam już skierowanie z Samopomocy".

— „Trzeba jechać i nie będziecie żałować. Pamiętajcie, trzeba jechać" — podkreśliłem jeszcze raz, zsiadając z wozu. Poskrobał się w głowę i pojechał. Ja poszedłem dalej.

Każdy popularyzator wiedzy zna dobrze to przyjemne uczucie, kiedy prelegent mówi do tak zwanej „pełnej sali" i w pięknej świetlicy. Miałem takie uczucie w robotniczej świetlicy w Poniatowej, w równie pięknej świetlicy cukrowni Garbów, której ściany ozdobione są udałymi pracami malarskimi ślusarza Fijałkowskiego, w Domu Kultury w Krasnymstawie, w Kraśniku, w Domu Ludowym w historycznym, nadbużańskim Horodle, czy nawet w Domu Społecznym w Konstantynowie na Podlasiu, i wreszcie... — i znowu wszedłem do pięknie przybranej świetlicy, w której wszystkie miejsca były zajęte.

Miałem mówić o Wiktorze Hugo. Śmiałby się na pewno „jaśnie pan dziedzic", gdyby mu ktoś osiem lat temu powiedział, że jego chłopi będą słuchać odczytu o Wiktorze Hugo. Ale „jego" chłopi uśmiechali się teraz przyjaźnie i zachęcająco do prelegenta — do mnie. Stary, poczciwy Hugo, w którego żyłach płynęła krew lotaryńskiego chłopa, cieszyłby się takim widokiem.

Chcecie wiedzieć, jak żył lud Francji w wieku, w którym tron królewski nie był silniejszy od gniewu Paryża? Chcecie wiedzieć, co myślał wielki Francuz, który energicznym krokiem i z namiętnością w słowach i w czynach szedł naprzeciw kilku rewolucjom, wojnom i nowemu stuleciu? Naprzeciw światu, w którym Valjean będzie na przykład inżynierem budującym domy dla robotników Stalingradu, Warszawy, a może dla robotników Lille i Paryża?

Wy nie znacie twarzy Valjeana, Gavroche'a, Fantiny, Kozetty? Znacie na pewno. Toć przecież w ciemną noc okupacji, gdy człowiek ratował człowieka — jakąż to twarz mógł mieć ratujący? Oczywiście, Valjeana. Obdarty i głodny mały gazeciarz warszawski, trzymając w chłopięcej piąstce pistolet, gdy strzelał do obżartego hitlerowca — czyjąż to mógł mieć twarz? Oczywiście, Gavroche'a. Twarz Valjeana ma marynarz Martin, twarz Gavroche'a mieli wszyscy młodzi chłopcy przedzierający się na Zlot Młodzieży w Berlinie. A Kozetta? Pytacie o Kozettę? Kozetta jest tu, na tej sali. Bo radosną, uśmiechniętą twarz Kozetty mają wszystkie polskie dziewczęta.

Czemu wpatrujesz się we mnie człowieku o niebieskich oczach? Błyszczą ci oczy i poczerwieniała twarz. Człowieku o niebieskich oczach i kasztanowych włosach, gdybyś był nieco mniejszy, to ja znałem twojego sobowtóra, był nim mój dziadek. Chcesz mówić? Proszę. Mówisz, że płakałeś na filmie „Nędznicy", a więc widziałeś „Nędzników". Nie, mój dziadek ich nie widział. Słuchał mnie, 14-letniego chłopaka, przy ognisku w chłodny, sierpniowy ranek, podczas gdy ty słuchasz mnie w pięknej, strojnej świetlicy i zaraz uj-

Życiorysy nieurojone

ZOFIA BYSTRZYCKA

W SZKOLE



Franciszka Tomczakowa

Po upalnym, rozedrganym od gorąca powietrzu chłód wielkiej, kwadratowej sieni pałacu w Dębiczu ogarnął nagle i przejmująco, rozluźnił zmęczone wybojami mięśnie. Rozejrzałam się trochę bezradnie dookoła, było przestronnie i cicho, auto którym przyjechałam udało się do zarządu spółdzielni, sama musiałam znaleźć Franciszkę Tomczakową.

Dziwna to była szkoła, w której uczyła ob. Tomczakowa. Marmurowa w kratkę podłoga, wysokie, pobielane kolumny wspierały pretensjonalny — z wywijasami — strop, kilka ciemnych, rzeźbionych z ciężkimi klamkami drzwi rozchodziło się na wszystkie strony. Ale za tymi drzwiami nie mieszkali już tamci ludzie, nikt nie zamykał się za nimi, aby nie dojrzeć postnego życia wsi.

Poszłam wzdłuż korytarza; jeszcze kilka schodów, jakaś wnęka z figurą ozdobnie wygiętą w biodrze i trzymającą się za piersi — i wtedy usłyszałam niezupełnie zgodny, ale ochoczy śpiew dochodzący zza ostatnich drzwi. Zapukałam, ale oczywiście nikt w tym zapale śpiewaczym usłyszeć mnie nie mógł, więc weszłam. Kilkanaścioro dzieci stało w ławkach. Chłopcy na prawo, dziewczynki na lewo. Stali tyłem do mnie, więc ujrzałam przede wszystkim liczne warkoczyki przysłowiowego koloru dojrzałego zboża. Chłopcy mieli głowy ostrzyżone do skóry, albo pokryte niesfornymi wiechciami włosów i wszystkie te głowy odwróciły się do mnie, nie przestając zresztą śpiewać.

Tak, ta kobieta o szerokiej twarzy i gładko sciągniętych, trochę już szpakowatych włosach, to była Franciszka Tomczakowa. Z uśmiechem, który pewnie krył w sobie zdziwienie, szła między ławkami ku mnie dając ręką tajemnicze znaki „stronie męskiej" klasy.

— Trafiła pani na lekcję śpiewu — rzekła, gdy uścisnąwszy jej dłoń wyjawiłam cel mojej wizyty — zresztą te lekcje u mnie wyglądają niezupełnie przepisowo i kończą się na tańcach. Ale jak mogę dzieciom odmówić, kiedy proszą o to i proszą? — rzekła i ujrzałam w jej twarzy, że na pewno trudno jest jej odmówić, gdy tylko od tego zależy radość wychowanków. Miała brązowo - szare oczy i uśmiech, który od razu stworzył między nami atmosferę starej znajomości. Znowu machnęła ręką w stronę chłopców, którzy śpiewali zapamiętale, wybijając nawet takt dłońmi o ławki. Zerkali przy tym na mnie, najwyraźniej oczekując uznania.

— Niech się pani nie przejmuje, zdaje się, że nie potrzeba ich zachęcać do śpiewu.

— Właśnie — westchnęła — a mówiłam im tyle razy, żeby nie śpiewali. Strasznie basują, słuchać nie można. Potem także dziewczęta tracą ton i nic z mojej nauki nie zostaje. — Rzeczywiście, głuche tony, które szły od strony męskiej, naruszały harmonię melodii. Nauczycielka odetchnęła z ulgą, kiedy śpiew ucichł i od razu przeszedł w gwar. Dzieci wysypały się z ławek, otoczyły nas wianuszkiem perkalikowych sukienek. Uniosły się ku nam oczy wszystkich niebieskich odcieni, jakie ma polskie niebo w pogodny czas, i perkate nosy upstrzone piegami, i roześmiane usta, czasem bez przednich, mlecznych zębów, bo była to klasa druga.

Wyszłyśmy przed pałac. Upał przygasał powoli, wchłaniany przez długie cienie idące od wysokich drzew. Zielone płachty trawników połyskiwały złotawo, polerowane przez niskie już słońce. Gładkie i czyste ścieżki biegły strzeliście, wyznaczone bielonymi kamieniami. Przed zajazdem do pałacu na trawniku rozsiadł się klomb, jak wielka wzorzysta poduszka na zielonej kanapie. W głębi na lewo widać było rozpiętą siatkę i boisko do siatkówki. Włochate srebrne świerki stały grupkami, były młodziutkie i niezgrabne na krótkich nóżkach. Przez powietrze szły falami zapachy tych świerków, trawy, klombu i chyba maciejki, której nie widziałam.

A przecież jeszcze zeszłego roku spółdzielcy połamali róże, które w parku rosły. W niedzielę przychodzili i zrywali kwiaty, łamali srebrne gałęzie i unosili do domów, bo park i tak „jest ziemią niczyją", a dom we wsi jest ich własnym domem, o który nauczono ich dbać.

Franciszka Tomczakowa z mężem — też nauczycielem w Dębiczu — ujrzeli to zaraz po przyjeździe, ale wiedzieli, że krzykiem i referatem na temat poszanowania wspólnego dobra tej sprawy się nie załatwi. Trzeba było znaleźć inną drogę. Droga ta wiodła do sąsiedniego, dobrze zagospodarowanego Kórnika. Wybrali się tam z uczniami i zakupili bukszpany, te właśnie srebrne świerki, jodły, tuje — i ponownie krzaki róż. W pierwszej godzinie sadziły je dzieci same z Franciszką i jej mężem, a kiedy przyszła kolej na świerki, to w tej właśnie chwili nadeszła ze wsi młodzież, zaciekawiona wieścią o dziwnym święcie w parku, i posadziła dodatkowo 57 drzewek już z własnej ochoty, „ponad plan". Przyszli trochę dlatego, żeby nie oddać prawa gospodarowania w parku dzieciom ze szkoły. „Zresztą park należy do spółdzielni, a nie do szkoły — powiedział Franek Żmuda — więc i my mamy do niego prawo". Wyszła nawet mała sprzeczka na tym tle, a Franciszka Tomczakowa ocierała ręce z gliny, uśmiechała się nieznacznie do męża i udała, że nie słyszy sporu o park między dziećmi ze szkoły a młodzieżą.

Tuje, bukszpany przyjęły się pięknie, rosły i krzepły, a róże znów puściły brązowe, jakby woskowane pąki, z których miały wybuchnąć płomieniste kwiaty. Od dnia tamtego — trochę mimowolnego, trzeba powiedzieć uczciwie — czynu 1-szo majowego młodzież często zaglądała do parku. Przez prostą ciekawość, jak się wiedzie „ich" drzewkom. A potem okazało się, że starczy czasu po pracy, aby grać w siatkówkę niedaleko tych drzew, więc dlaczego piłka ma leżeć w

Z ZAPISKÓW AKTYWISTY TERENOWEGO

i Wiktor Hugo

rzysz film o Komunie Paryskiej. Pytasz, dlaczego stary Hugo nie walczył jednak osobiście razem z komunardami? A dlaczego o to właśnie pytasz? Bo człowiek powinien walczyć o swoje ideały — odpowiadasz. Słusznie.

Do dyskusji przyłączył się człowiek w zielonej koszuli i czerwonym krawacie.

— „Towarzysz Józef ma rację, pytając, dlaczego Hugo nie walczył razem z komunardami. Bo towarzysz Józef jest starym, chłopskim partyjnikiem, który siedział w więzieniu sanacyjnym za walkę przeciw chłopskiej krzywdzie i teraz pilnuje naszego dobra w spółdzielni produkcyjnej. Człowiek, co inaczej mówi, a inaczej robi, to tchórz". Brodaty towarzysz Józef uśmiechnął się: — „Powoli, Antoś, powoli" — rzekł do zetempowca. — „Chyba nie myślisz, że Hugo był właśnie tchórzem? Powiedział nam prelegent, że Hugo rzucił hasło wojny partyzanckiej z Prusakami, że działał w oblężonym, głodującym Paryżu, mimo podeszłego wieku. A tylko nie docenił w pełni Komuny Paryskiej. Komunardzi go trochę wyprzedzili, fakt. Ale przecież z narażeniem własnego życia pomagał później zbiegłym komunardom. Ja tylko dlatego zapytałem, bo myślałem, że jeszcze jest jakaś przyczyna, która nie była podana w odczycie. Bo ja to i do stu lat, gdybym żył — nie ustąpię ze swojej drogi. Ale im wtedy, osiemdziesiąt lat temu, trudno się było zdecydować i tak od razu zorientować. Wtedy życie było bardzo zagmatwane. A Wiktor Hugo i tak zdziałał dużo dla postępu, i wdzięczna mu jest cała ludzkość. Gdyby teraz żył, byłby na pewno z nami. I byłby przewodniczącym Światowej Rady Obrońców Pokoju, podobnie jak za swego życia, bo to przecież jego idea, która na pewno zwycięży. No, a teraz zapalimy, obywatelu prelegencie".

— „Ja bym zapalił, gdybyście mieli czarną machorkę, mimo że nie palę w ogóle papierosów". Wybuchnęli śmiechem. — „Po co czarna machorka, przecież papierosy takie tanie — ni ma czarnej machorki".

Poszedłem dalej. Na łąkach pasły się krowy. Gdy zamierzałem przeskoczyć przydrożny rów, spostrzegłem za dwiema krowami małą dziewczynkę czytającą pilnie książkę. Zmieszała się trochę, gdy zapytałem, co czyta? Ale nie potrzebowałem odpowiedzi, bo tytuł widniał jak na dłoni: „Rewolucja Lipcowa we Francji". W dalszej rozmowie stwierdziłem, że doskonale orientuje się w stosunkach we Francji po upadku Burbonów, a przecież jest uczennicą VI klasy szkoły podstawowej na wsi. — „Wieczorem nie odrabiasz lekcji?"

— „Nie, teraz nie mogę, bo muszę pomagać w polu".

— „A jaki stopień masz z historii?"

— „Czwórkę".

— „To mało. Czy w waszej wsi uczęszcza młodzież do szkół średnich?"

— „Bardzo dużo".

— „A gdzie uczęszczają?"

— „W Puławach, w Lublinie".

— „A ty chcesz się uczyć dalej?"

— „Tak".

— „Właściwie powinienem ci się przedstawić. Nazywam się ***, a ty?"

— „Aniela Sekuła"

— „Do zobaczenia, Anielo, w szkole".

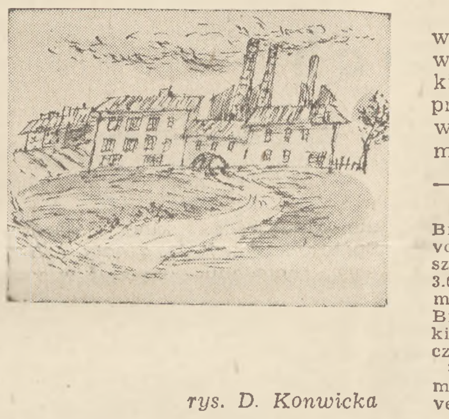
I dalej na następnej łące prawie to samo, bo rówieśnica Anieli, Stanisława Mątraszek, trzymając na postronku dwie krowy, czytała sobie spokojnie, jak w czytelni, książkę pt. „Szpak, ptak wiosenny" Mścisławskiego. A więc głód książki? Na pewno nie, bo we wsi jest biblioteka. Głód wiedzy? Tak, a to już co innego, i to dobry znak. Za moich czasów na wsi było trochę inaczej. Ta młodzież nie będzie czytać „biblii Sybilli". Ale po co na każde dwie krowy jeden pilnujący? — „Jak uważacie, Anielo, Henryku, Staszku, czy dalibyście radę na dużym pastwisku dopilnować, dajmy na to, sto krów?" — „Pewnie, że dalibyśmy radę". — „A widzicie. W spółdzielni produkcyjnej w Szychowicach i w innych spółdzielniach wszystkie krowy pasą się wspólnie. I wszystkie dzieci w wieku szkolnym mają dzięki temu czas na naukę i uczą się systematycznie, tak jak dzieci z miasta".

W szkole zastałem wdzięczne audytorium. Sytuację międzynarodową znają prawie na bieżąco. Gdy mówiłem o Howardzie Fascie, wtedy Henryk Kozłowski, uczeń VI klasy, poprosił o głos i streścił nam „Ostatnią granicę". — „Kino do was przyjeżdża często?" — pytam. — „Dość często". — „Radioodbiorniki macie?" — „Tak".

W mojej rodzinnej podradomskiej wsi Cerekwi błyszczą żarówki w oknach. Ludzie po pracy słuchają radia. Oglądają filmy, czytają gazety. Cała młodzież uczy się, by potem zużytkować wszystkie swoje zdolności i umiejętności w pracy, na którą nie trzeba wyczekiwać latami, o którą nie musi się żebrać. I tak jest w tysiącach polskich wsi, i tak będzie we wszystkich wsiach, dzięki naszej proletariackiej władzy. Na przekór kułackim plotkom, sabotażom i podłości powstaje nowe życie, którego nie zmrozi majowy mróz i nie zniszczą kułackie oszczerstwa. O takiej wsi marzył kiedyś mój dziadek, o taką wieś walczył syn czteromorgowych chłopów cerekiewskich — „bolszewnik" Stanisław Tkaczyk, członek KPP, który zginął w 1938 roku od kuli agenta „defensywy", gdy chciał przedostać się do Związku Radzieckiego. Choć sam zginął, ale sprawdziły się jego słowa wypowiedziane w lipcu 1936 roku, o taką wieś walczy obecnie wspólnie z młodym pokoleniem stary działacz chłopski, brodaty towarzysz Józef I taką wieś buduje Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Nieraz wracając z terenu późno, po nieprzespanej nocy, nie czułem zupełnie zmęczenia, kiedy przypomniałem sobie skupione twarze chłopów i robotników, które jaśniały uśmiechem, o ile potrafiłem ich zainteresować, i których proste słowa podziękowania były dla mnie największą nagrodą. Ale przecież słowa podziękowania należą się nie mnie, ale Polsce Ludowej, której siejba wiedzy wśród ludu rozwija się pięknie jak tegoroczne zboża mimo majowych mrozów.

Zygmunt Machnikowski



rys. D. Konwicka

ALEKSANDER KULISIEWICZ

Polska w dzisiejszej poezji słowackiej

Słowacja. Łączą nas z nią pieśni góralskie, piętnujące dawną, przebrzmiałą już niedolę ludu — tak nieraz spokrewnione z sobą, że ciężko uchem odróżnić, jaka to właściwie piosenka: polska czy słowacka — łączy nas za tę samą sprawę przelana krew, a przede wszystkim jeszcze jedno, to najistotniejsze: p r a c a.

Nic więc dziwnego, iż pierwsze słowackie utwory poetyckie o powojennej Polsce, kreśląc ruiny Warszawy — tak beznadziejne pozornie — na ich żałosnym tle rzucają wizję przyszłego rozmachu. Wśród wielu tragicznych, pejzażowych raczej akordów przebija tutaj wiara w lepsze, socjalistyczne jutro naszej Stolicy.

Młody, utalentowany liryk Pavol B u n c a k (ur. 1915, m. in. autor antologii współczesnej poezji polskiej pt. „Polské verse" — 1949[1]); laureat nagrody „Maticy Slovenskej" za rok 1949; ważniejsze cykle: „Neusinaj zažni slnko" — 1941, „S tebou a sám" — 1946, „Zomierat zakazané" — 1948), który bawił u nas w 1947 roku wraz z oficjalną wycieczką literatów czeskich i słowackich — jest autorem pierwszego słowackiego poematu na temat powojennej Warszawy.

Oto typowy fragment:

Słowa bezsilne
odrzućcie na bok.
Tu każde słowo rzecz marna.
. . . .
Ołtarze pod niebo grożą
pięściami gruzów odartych z tynku,
jakoby za żywa na rożen wbite
jagnięta.

Warszawo,
siostro Swobody,
chociaż ciało Twe żywcem spalili —
serce Twe w ogniu nie przestało
bić.
W płucach mych popiół tylu
pogorzelisk
i widzę, jak marny tu rozum.
Sercem człowieka, jak zabawką z
kart,
Warszawa zawładnęła:
po wszystkie czasy podobna do
dzwonu,
miłością silna i żelbetonem[2]).

Jak zasadniczo różni się „Warszawa" P. Buncaka od niektórych słowackich utworów, jakie przed rokiem 1938 powstawały o Polsce — przeważnie o Warszawie — nie zawierając żadnego głębszego problemu. Mówiły one o rzeczach błahych, o wybrańcach Fortuny jednej tylko klasy społecznej, banalne rymy układały się po większej części mniej więcej tak:

Ach ta Varsava, tie pekné polské
panie
a dievy stvorené pre samé milovanie.

Utwór pisany w 1937 roku nosił tytuł „Spomienka na Varsavu". Autora nie podajemy — to zresztą nie istotne. Gdyby to był wyłącznie erotyk lub jakiś lekki pamiętnikowy szkic, nie mielibyśmy aż takich zastrzeżeń, utwór (12 strof), stanowi jednak galimatias i patriotyzmu, i „braterskich, filosłowiańskich uczuć", które (o zgrozo!) rodzą się ponoć w... salonach, gdzie — jak wyznaje autor —

...pri taktoch mazurky a w dyme
papierosky
zasnis o živote, jak krasny je
a božsky.
Slachticka noblessa ti temer hlavu
mami,
že, poet ubohy, rad bozkas ruku
damy,
a vdiacnost cudzinca neznajuc
vyriect slovy,
velku das bankovku do ruky
lokajovi.

Spróbujmy przełożyć ten dystyngowany epizodzik:

...przy dźwiękach mazura,
w papierosów dymie
śnisz tutaj o życiu, jak piękne
jest — jedyne.
Szlachcianka - noblesa głowę
twoją mami
i — marny poeto — muskasz
rączkę damy;
wdzięczności cudzoziemca nie mogąc
wyrzec słowy,
wielki banknot wpychasz do łapy
lokajowi...

Sapienti sat. Czytelnik nasz uzmysłowił już sobie, jakiego rodzaju to wiersz i o jakiej Warszawie.

Omawiając tematykę polską w dzisiejszej twórczości poetów słowackich, nasuwa się nam znane i w Polsce nazwisko 29-letniego literata, dramaturga, tłumacza i publicysty — Miro P r o c h á z k i (ur. 1922). Ma on za sobą kilkanaście wartościowych prac, m. in. 5 cyklów poetyckich — nie mówiąc już o licznych przekładach, K. Brandysa, J. Andrzejewskiego, K I. Gałczyńskiego, J. Tuwima, W. Broniewskiego i innych.

Procházka był jednym z laureatów międzynarodowego konkursu za najlepszy scenariusz filmowy z życia Fryderyka Chopina — konkursu ogłoszonego w 1948 r. przez Film Polski. Przygotowuje on monografię o Chopinie p.t. „Garść polskiej ziemi" (tytuł słowacki: „Hrst polskiej zeme"). We wspomnianym już cyklu „Pallas Atena" poświęcił ulubionemu kompozytorowi głęboko odczuty utwór p.t. „Fryderyk Chopin".

Warszawę odmalował Procházka m. in. w powstałym również w 1948 roku wierszu p.t. „Varsava vecer" („Warszawa wieczorem").

Mgła na Warszawę kładzie osnowę
swoją siwą,
przesłania już kikuty i rumowiska
ścian,
troskliwa miękka mgła na głowę
niecierpliwą,
na rękę wyciągniętą z bolesnych
śladem ran.
. . . .
Włożyła na Warszawę mgła siwą
swoją osnowę,
jak puch, jak ciepłe ręce kobiece
jest jej cień.
To nic. To przejdzie. Ręka dziecięca
gładzi głowę.
Dobranoc. Nie zapomnij. Wszak
jutro będzie dzień.[3])

Martyrologię polskiego ruchu oporu w czasie hitlerowskiej okupacji opiewa Procházka w utworze p.t. „Mur" (1948).

W barze „Europa" tańczyli panowie
typu bel ami
z paniami, co nie rzuciły granatu,
lecz uśmiech panu gauleiterowi.

Tylko tam, pod murem, parę
zostało ciał,
jakichś ciał jakichś tam ludzi,
wybranych przypadkiem;
każdy z nich był w jakimś tam
wieku
i w jakiejś tam zarzutce,
mieli nawet jakieś rodziny,
jakieś długi, jakieś miłości —
i wszyscy kochali Polskę.
W kieszeni mieli może i kwit
z elektrowni
lub oderwany guzik.

Tak bardzo chcieli żyć.[4])
. . . .

Ostatnio Miro Procházka, szczery nasz przyjaciel i propagator literatury polskiej, ukończył trzy nowe wiersze: „Trasę W—Z", „Ulicę Graniczną" (pod wrażeniem widzianego filmu) oraz „Lesenie" („Rusztowania").

Z innych wybitnych poetów słowackich opisuje naszą Stolicę Jan K o s t r a (ur. 1910; ważniejsze cykle: „Hniezda" — 1937, „Moja rodná" — 1939, „Ozubeny cas" — 1940, „Puknutá váza" — 1942, „Presilia smutku" — 1946, „Ave Eva" — 1948, „O Stalinie" — 1950), autor przepięknego szkicu p.t. „Host vo Varsave" (1951). Daje w nim wyraz rozmachu i optymizmu rosnącej Warszawy.

Język Kostry jest dla Polaka zupełnie zrozumiały. Weźmy n.p kilka wyjątków z „Hosta vo Varsawe", w transkrypcji fonetycznej:

Dokończenie na str. 7-mej

1) „Polské verse". Nakł. „Pravdy", Bratislava 1949; redakcja i przekład: Pavol Buncak, posłowie: Ryszard Matuszewski, układ graficzny: J. S., nakład: 3.000 egz. W antologii uwzględniona jest m. in. twórczość poetów takich jak: Broniewski, Słonimski, Tuwim, Iwaszkiewicz, Przyboś, Ważyk, Jastrun, Gałczyński, Zagórski, Bieńkowski. Str. 82.
2) wiersz z nagrodzonego cyklu „Zomierat zakazané"; nakł. „Maticy Slovenskiej", 1948, str. 56.

3) przekład Jerzego Zagórskiego.
4) przekład Aleksandra Baumgardtena.

świetlicy? Można poza tym wyćwiczyć się w „ścinaniu", można się wykłócać o każdy punkt w zapale walki sportowej, zresztą okazuje się, że w parku świeżo, chłodno i najprzyjemniej po całodziennej pracy na nieosłoniętym skwarze. Więc kiedy jakiejś niedzieli przyjechała wycieczka, aby rozłożyć się na trawie, zrobić zdjęcia z naręczami gałęzi i uwieźć bukieciki róż na pamiątkę wesołej niedzieli, to okazało się, że ta niedziela nie była dla nich taka wesoła, ponieważ młodzież grająca właśnie w siatkówkę przegnała z wielkim krzykiem niszczycielskich gości.

Park jest wielką radością Franciszki Tomczakowej. Cieszą ją te zmiany: i w parku, i w rozumieniu młodych spółdzielców. Radość ta jest potrzebna w jej wymierzonym, za krótkim dniu nauczycielki wiejskiej i „społeczniczki".

Życie jej wypełniają trzy rzeczy: nauczanie, zebrania — oczywiście! — i praca świetlicowa, której się podjęła dobrowolnie i bezinteresownie, chyba że interesownością jest robienie tego, co się lubi. Nauka trwa — dwie klasy kolejno — od 8 do 15, ale trzeba wstać rano dużo wcześniej, by o 5-ej otworzyć radiowęzeł, który mieści się w świetlicy i posłać do zagród Dębicza wiadomości z szerokiego świata. Kiedy kończą się godziny szkolne, trzeba naprędce pichcić obiad, bo już jest późno i znów trzeba się będzie spóźnić na zebranie do powiatu. Czasem zebranie odbywa się na miejscu i Franciszka Tomczakowa może przyjść nań tuż przed rozpoczęciem. Wieczory wypełnia poprawianie wypracowań i życie świetlicy.

— Chciałam pani powiedzieć o moim doświadczeniu z zebrań spółdzielczych. — Franciszka Tomczakowa patrzy na mnie swymi brązowo-szarymi oczyma i mówi wolno, jakby myśląc na głos: — Może to wyda się pani dziwne, ale uważam, że często w zebraniach przychodzi mnie z pomocą... Na zebraniu, jak pani wie, mówią różni ludzie. Nie zawsze słusznie, czasem szkodliwie. Szkodliwie świadomie, lub nieświadomie. Jeżeli nieświadomie, to można wytłumaczyć, sala pomaga, często sama dyskusja prostuje pomyłkę tamtego. Gorzej jest, jeżeli wstaje i mówi człowiek, który chce szkodzić, i czuje za sobą poparcie części sali. Bo bywa i tak — nauczycielka uśmiecha się niewesoło. — Wtedy takiego trzeba ośmieszyć. Obrócić w żart jego wydęte argumenty, przeciwstawić jego pozycję stanowisku innych, odosobnić go i potraktować lekceważąco, przynajmniej z pozoru, na zebraniu. Niech będzie śmieszny i osamotniony. Chłopi bardzo się boją śmieszności, za długo deptano ich godność. Wyśmiewaniem przejmują się gorzej od krzyku i poważnego „nawracania" szkodnika. Wiemy z doświadczenia, że taka śmieszność przypięta na zebraniu trzyma się takiego bardzo długo, utrudniając mu bardzo pozycję we wsi.

Idziemy przez park, wychodzimy na tyły pałacu. Rząd wysokich, empirowych okien, szerokie płaszczyzny kremowego tynku. Dzikie wino zwisa we frędzlach z ganku, jego zieleń jest gęsta, prawie czarna. Świergot powracających do gniazd ptaków jest coraz silniejszy, powietrze jest nieruchome i czyste. Koło twarzy bzykają nam pszczoły, nieopodal wśród drzew widać malutkie domki pasieki. Światło słoneczne żółknie, pada ukośnie przez witraże gałęzi, gdzieś dołem przemknął pierwszy wieczorny chłód.

Przed pałacem dostrzegam malutkie grządki, rzędem jedna obok drugiej, a na nich gęsto wszelakie jarzyny. Są czysto wyplewione, obłożone kamyczkami.

— To grządki dzieci, gospodarują na nich po dwoje, niech się uczą dbać o ziemię — mówi nauczycielka, kiedy przechodzimy obok.

Świetlica jest bardzo duża, pełna nowych, brązowo politurowanych krzeseł. Pewnie dawniej sala balowa, albo miejsce długich i nudnych uroczystości rodzinnych. Teraz na ścianie widnieje napis: „Praca jest sprawą honoru i szacunku". W kącie piękny adapter, albumy z płytami. Płyt jest sporo. Drobnostka? Ejże. Na stole leżą rozłożone czasopisma. Białe ściany barwią się wielkopolskimi wycinankami ludowymi. Pod sufitem też bardzo kolorowy, zrobiony ze słomy i bibułek, jak ogromna ozdoba choinkowa — wisi żyrandol. W małym pokoiku obok znajduje się szafa biblioteczna i stół ping-pongowy.

— To jest miejsce, które zjada mi wieczory — mówi Franciszka Tomczakowa, pokazując na świetlicę. — A zjada z takim apetytem, że nie mam często czasu, aby wyprać i pocerować sobie i mężowi. Na pomoc domową nas nie stać. Córkę mamy w Poznaniu, w konserwatorium w klasie śpiewu, więc jesteśmy sami i radzić sobie musimy. Wie pani, problemem jest także wyżywienie. Trzeba jeździć do powiatu, brać na kartki, ale kiedy? Dlatego całe miesiące obchodzimy się bez mięsa — wzdycha. Nieraz jestem zła na siebie, ale oderwać się nie mogę, trochę dałam już z siebie dla tej świetlicy.

Układa machinalnie czasopisma na stole. Bierze do ręki egzemplarz „Ogonka" z głową dziecka na okładce.

— Zna pani rosyjski? — pytam, widząc jak przegląda stronice.

— Znam, ale bardzo nieoficjalnie. Po prostu nauczyłam się sama, z podręcznika, więc lepiej nie słyszeć, jaki mam akcent. Na pewno żaden Rosjanin mnie nie zrozumie, ale ja rozumiem, kiedy czytam i to mi musi na razie wystarczyć.

Kiedy przed rokiem Franciszka Tomczakowa przyjechała tu z mężem, z Pięczkowa, świetlica wyglądała trochę inaczej. Tomczakowie byli zrozpaczeni. Po 23 latach pobytu w tamtej wsi, gdzie wszyscy stali się prawie rodziną, gdzie zespół świetlicowy słynął na okolicę i brał jak chciał różne odznaczenia za swoje występy, przyjechali tutaj. Pałac oczywiście stał tak jak i teraz, świetlica mieściła się nawet — z imienia — w tej wielkiej sali, ale spółdzielcy omijali starannie to miejsce, które im przypominało tylko za częste i bardzo długie zebrania, kiedy po dniu pracy głowa opada na ramię, a oczy same się zamykają, gdy spojrzeć na mówcę.

Trzeba było zacząć od początku, nie myśleć o Pięczkowie. Tomczakowa otrzymała do świetlicy bibliotekę, ale nikt do niej nie przychodził. 337 książek stało sobie na półkach, a młodzież wieczorami wysiadywała przed chałupami, patrząc nieufnie w stronę pałacu, do którego przecież — z tradycji — nie miała powodu mieć wielkiego zaufania. Wtedy Tomczakowa zorganizowała głośne czytanie, właściwie czytała sama, w przerwach urządzając próby śpiewu chóralnego. Okazało się, że w Dębiczu do słuchania i śpiewu łatwiejsi są chłopcy, niektórzy zainteresowani nieznanym życiem z książek zaczęli nawet zaglądać do biblioteki, natomiast dziewczęta dalej się boczyły, trzymane krótko przez matki. „Dziewczyna wieczorem ma siedzieć w domu i myśleć nie o chłopcach i śpiewach, tylko o mężu, żeby się znalazł" — mówiły stare kobiety i nie puszczały dziewcząt do świetlicy.

Wtedy Tomczakowa też sobie pomyślała. „Niech myślą o zamążpójściu, ale przy mnie, i przy robocie". I otworzyła kursy szycia i wyszywania. Żeby dziewczęta szły za mąż z obrusami i ręcznikami wyszytymi podczas wieczorów w świetlicy. Rzeczywiście — od chwili kiedy pierwsza dziewczyna przeszła przez wieś w bluzce, na której kwitł „wzór od pani nauczycielki" — dziewczęta napłynęły do świetlicy wiedzione trochę ciekawością, a trochę kobiecą zazdrością, że tamta ma taką bluzkę, a one nie.

Kiedy młodzież już trochę oswoiła się ze świetlicą, nie trudno było zaproponować urządzenie amatorskiego przedstawienia. Ba! Nie trudno było zaproponować, a nawet uzyskać jednogłośną zgodę. Trudności zaczęły się w dniu pierwszej próby. Chłopcy, nawet starsi mężczyźni przychodzili, słuchali nauczycielki, śpiewali i czytali role kiedy było trzeba, ale dziewczęta znów stanęły okoniem. Role po targach wzięły, owszem, ale na próby przychodziły według własnego, niezupełnie skoordynowanego zresztą pomyślunku. Mało brakowało, żeby i chłopcom odechciało się przychodzenia na próby, kiedy większość „postaci kobiecych" zostawała w domu. A termin wystawienia sztuki po trzech tygodniach groził pozostaniem na papierze, który ze wstydem trzeba by było wrzucić do szuflady biurka w spółdzielni.

A przecież dzięki spółdzielni mogli mieć wolne wieczory, bo praca w zimie kończyła się wcześnie, nie trzeba było jak dawniej chodzić koło roboty na indywidualnym, wiedząc dobrze, że i tak nie odrobi się wszystkiego. I o świetlicy nikt dawniej nie słyszał, a teraz chodzić na próby nie chcą! Tomczakowa pomyślała wtedy w zimie, jak i w lecie przy sadzeniu drzewek: „nic krzykiem nie zrobię, przecież ani nie muszą, ani nie powinni się mnie bać". Natomiast kiedy dziewczęta na próbach się nie zjawiały, wtedy mówiła: „Karolka ma dzisiaj na pewno robotę w domu i dlatego nie mogła przyjść. Wiem, że gdyby mogła, to by na pewno przyszła. Wierzę w nią, że nie zerwie przedstawienia". I Karolka zjawiała się na najbliższą próbę z gotową, choć niezupełnie prawdziwą historią o chorym cielaku. Metoda okazała się nienajgorsza, bo po upływie trzech tygodni z wielką pompą odbyła się premiera. Nawiasem mówiąc, było to też pretekstem, aby świetlicę odmalować i przystroić. I Tomczakowa z tego pretekstu skorzystała.

Za pieniądze uzyskane z przedstawienia zakupiono właśnie ten adapter, płyty, oraz 10 pelargonii, które teraz czerwienią się w oknach. Potem nauczycielka wzięła za zgodą zarządu resztę pieniędzy i pojechała z „artystami" na operę do Poznania. Żeby zobaczyli, jak to wygląda naprawdę. Zobaczyli i stało się tak, że odtąd raz na miesiąc jeżdżą razem do Poznania, czasem na operę, czasem do teatru. Zabierają też ze sobą starsze dzieci szkolne. Nie trzeba teraz już wyciągać młodzieży z domów. Za ostatnie przedstawienie zespół świetlicowy Dębicza otrzymał jako nagrodę: 82 książki z dyplomem, na którym jest napisane: „Klasa sama dla siebie", bo był jedynym zespołem wiejskim na eliminacjach powiatowych. Stąd ta klasa. ZSCh ofiarowało im też ping-pong, który ma tę jedną wadę, że piłki łatwo pękają i trzeba jeździć po nie aż do powiatu. Za to jakie zawody, jaka walka co wieczór!

Ale w Pięczkowie nie zapomnieli tak łatwo o swej nauczycielce. Pamiętali dnie dożynek na Psiem Polu i w Lublinie, kiedy nauczycielka, ubrana tak jak i oni w obfity strój wielkopolski, wyruszyła razem ze swoim zespołem w drogę. Pamiętali, jak tańczyła z nimi na dworcach przy dźwiękach pięczkowskiej harmonii, jak w rozgrzanych wagonach prześpiewali całą drogę. Pamiętali też wiele innych dni i wydarzeń z tych 23 lat, kiedy była z nimi. Szmat czasu. Już drugie pokolenie chodziło do niej do szkoły, kiedy ich opuściła. Ale życie w świetlicy tak głęboko zapuściło już korzenie, że nie wyrwał ich wyjazd nauczycielki, która je zasadziła.

Pewnego letniego popołudnia zajechały przed pałac w Dębiczu ciężarówki ze 100-osobowym zespołem z Pięczkowa. I pokazały Dębiczanom swój bogaty program, swój poziom! Tamci oklaskiwali szczerze, ale kiedy w ciągu lata goście przyjechali jeszcze dwukrotnie, i zawsze z czymś nowym, wówczas chociaż dłonie klaskały im ze szczerym uznaniem, ale do serc młodzieży z Dębicza zakradła się zazdrość i poczucie własnego mazgajstwa. Wzięli się do roboty i zaraz po żniwach pojechali do Pięczkowa. Wystawili jednoaktówkę, chór na głosy wykonał kilka pieśni z nieodłącznym „Na prawo most, na lewo most" jako „pieśnią o odbudowującej się Warszawie". Potem zatańczono krakowiaka i kujawiaka; Pięczkowianie usta otworzyli, bo nie bardzo chciało się im wierzyć w młodzież z Dębicza.

Tomczakowa opowiada o tym ciepło i bezstronnie, bo już sama nie wie, po której stronie jest jej serce, Zwykły nauczycielski los.

Widzimy, że dzieci skończyły już odcinki dróżek, które sobie wyznaczyły na dzień dzisiejszy. Z daleka migotają barwne plamki sukienek na zielonym tle trawników. Podchodzimy bliżej i wtedy przyszłość naszego kraju najwyraźniej niezmęczona robotą od razu oblega nauczycielkę i naprasza się o krakowiaka. To pewnie dla mnie, abym się przekonała, że po pracy jest pora na odpoczynek i rozrywkę. Pewnie mają rację. Nauczycielka też ulega prośbom.

— A kto będzie im grał? — pytam dosyć naiwnie, bo okazuje się, że dzieci są samowystarczalne: tańczą i śpiewają równocześnie.

— Dobrze, dzieci, niech będzie krakowiak, tylko nie za duży cwał! — ostrzega Franciszka Tomczakowa nauczona widocznie doświadczeniem. Już ustawiają się pary, zamierają wpatrzone w nauczycielkę, kiedy podchodzi do nas malutka, może najmniejsza ze wszystkich dziewczynka. Patrzy na pary, potem na nauczycielkę, mnie w dłoniach róg fartuszka, broda jej drży od hamowanych łez.

— Marysiu — nie wstydź się, idź tańczyć — pochyla się ku niej Franciszka.

— Ja się nie wstydzę — mówi zupełnym basem dziewczynka — tylko chłopa ni mom... — Czuję, że w gardle łaskocze mi śmiech, Franciszka Tomczakowa wyjaśnia:

— Partner jej poszedł w tym roku do innej szkoły, została sama w krakowiaku. — Potem zwraca się do dziewczynki:

— Nic nie szkodzi, dasz sobie radę bez chłopca, stań na końcu i tańcz sama.

Usamodzielniona kobietka od razu się pociesza, staje przy końcu korowodu i już uśmiechnięta rusza za innymi w szalonym rytmie, aż kurz się unosi nad ścieżką spod pięt. Porwani tańcem zapomnieli o słowach nauczycielki: i cwał jest ogromny, i chłopcy basują jakby nigdy nic, jak tam w klasie na początku naszej znajomości.

Stoimy na boku i zamilkłszy nagle patrzymy na te już w Polsce Ludowej urodzone, osmalone wiejskim słońcem dzieci, roztańczone bez tchu przed wyniosłym pałacem.

Niech pamiętają, że był to kiedyś pałac wielkopański, zamknięty dla nich za wysokimi drzwiami, ale niech dobrze wiedzą, że to już jest na zawsze **ich szkoła.**

Zofia Bystrzycka

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI — *Przełożył SEWERYN POLLAK*

DO ANGIELSKIEGO ROBOTNIKA

Dworzec skamieniał,
głucho w doku.
Siła policji
fabrykantów wspiera.
Jak w pierwszy dzień
siedemnastego roku,
przejmuje dreszczem
każda litera.
Stalowe szyje
wysuwa radio.
Słucha,
co za Lamanszem się dzieje.
Czy złamią,
poddadzą się,
zdradzą,
czy nam czerwoną flagą powieją?
Słyszę
Słyszę.
Ciężarówki chrypią,
dzwonią ostrogi,
szczęka oręż.
To do doku
łamistrajki rypią.
W mordę
sztormem im chluśnij,
morze!
Słyszę.
człapie pałacowa czeladź
do Baldwina,
co beczy jak owca.
Sir Macdonald
zaczął się ceretelić*).
Piorunie,
przebij język ugodowca!
Słyszę —
szloch mimochodem przemknie.
Brak żywności.
A jeść trzeba.
Mgło,
strajkującym
spływaj mlekiem!
Kamienie,
zamieńcie się w bochny chleba!
Radio zamilkło.
Strajkuje przestwór.
Pusto —
ni słowa —
cisza i spokój.
Ziemio,
nie pędź!
Obracać się przestań!
Pozwól dotrwać,
dotrzymać kroku.
Abyście wyszli
spod zdrajców opieki,
byście jarzyli się
coraz goręcej —
wam nasza miłość
i nasze kopiejki,
nasze serca
i nasze ręce.
Obce
nam są
polityków szarady —
bolszewikom
nie trzeba alegorii.
Wasza radość —
to nasza radość,
ból —
to nasz ból
i nasza gorycz.
Wziąłbym
dziś chętnie
ptaka posadę.
Do Londynu!
Całe pięć —
zrozumcie te słowa! —
pięć milionów —
wybaczcie przesadę! —
wziąłbym,
objął
i zaczął całować.

*) Neologizm Majakowskiego od nazwiska Ceretelli, ministra pracy w rządzie Kiereńskiego.

JAN GÓRSKI

Propaganda wyborcza w przeliczeniu na gotówkę

Prezydent Thomas Jefferson, w swojej pierwszej kampanii wyborczej, wydał na propagandę... 50 dolarów. Było to jednak dawno temu, w początkach XIX stulecia. Według danych „U. S. Chamber of Commerce“ (Izba Handlowa USA), wydatki rządowe na propagandę w ciągu siedmiu lat prezydentury Trumana były wyższe, aniżeli wydatki, dokonane łącznie przez 31 prezydentów, którzy rządzili przed nim w przeciągu 156 lat.

Wzrosły przede wszystkim koszty wyboru polityków, rządzących Stanami Zjednoczonymi. Kandydat na senatora czy członka Izby Reprezentantów nie przystąpi do walki wyborczej, nie posiadając zapewnionych znacznych funduszów pieniężnych. W ciągu ostatnich 25 lat nie było gubernatora w stanie New York, którego wybór kosztowałby mniej niż 2 miliony dolarów. Wybór mayora New Yorku kosztował jego protektorów powyżej 1 miliona. Kandydat na senatora takich stanów, jak: Ohio, New York, Pensylwania, Illinois czy Kalifornia, musi rozporządzać co najmniej kwotą 2 milionów dolarów. „The Congressional Quaterly“ podaje, że wprawdzie ze zgłoszonych raportów wynika, jakoby na wybory do 82 Kongresu wydano 10 milionów dolarów, jednak podana suma jest dużo niższa od faktycznych wydatków.

Wyborcze „inwestycje”

Wybitny ekonomista amerykański, Lewis Abrahams, w książce p. t.: „It's all Politics“ twierdzi, że w 1928 r., czyli prawie w 50 lat po pierwszej kosztującej milion kampanii wyborczej, wydatki na te cele przekroczyły sumę 25 milionów dolarów. W 1940 r. wyniosły już one zawrotną kwotę 50 milionów dolarów. **„W zamian za pieniądze, które wielki kapitał inwestuje w akcji wyborczej** — mówi Abrahams — **otrzymuje on korzystne dla siebie ustawodawstwo i ochronę swych interesów“.** H. H. Wilson w książce „Congress: Corruption and Compromise“ przytacza raport kongresmana Mac Donalda z Michigan, w raporcie tym złożonym Izbie Reprezentantów Mac Donald skarży się na **„cyniczne ustosunkowanie się“** dygnitarzy organizacji przemysłowców NAM (National Association of Manufacturers—odpowiednik polskiego przedwojennego Lewiatanu) do członków Kongresu. Kongres był traktowany przez N. A. M., jako **„departament prawny organizacji przemysłowców“.** Mac Donald twierdzi, że **„wysocy dygnitarze N.A.M. odnosili się do Kongresu w ten sam arogancki sposób, w jaki odnoszą się do innych swoich urzędników i... ci spośród ustawodawców, którzy ważyli się okazać jakikolwiek sprzeciw, byli karani w ten sam sposób, w jaki karano opornych pracowników N.A.M.“.**

Skoro uwzględnimy, że koszt wynajęcia pociągu propagandowego dla prezydenckiego kandydata wynosi powyżej 100 tysięcy dolarów, że w 1940 r. na same znaczki pocztowe i depesze republikanie wydali kwotę 131 tysięcy dolarów, że w czasie wyborów 1950 r. jeden z komitetów partyjnych wydał 100 tysięcy dolarów za półgodzinną audycję telewizyjną i radiową — to zrozumiemy, jakimi sumami muszą operować szefowie propagandy poszczególnych partii oraz jak wielki i decydujący wpływ muszą mieć ci, którzy — szerokim gestem — dają wielkie sumy na cele wyborcze.

Dwuletni finansista

W 1940 r. próbowano ograniczyć wydatki na propagandę wyborczą i ogłoszono tak zwany „Hatch Act“, czyli ustawę, na mocy której żaden komitet polityczny nie może wydać w ciągu jednego roku kalendarzowego sumy większej niż trzy miliony dolarów, a żadna osoba prywatna, komitet lub organizacja, nie mogą rocznie ofiarować na cel wyborczy więcej niż 5 tysięcy dolarów.

Przepisy tej ustawy pozostały martwą literą.

Senator William Benton pisał w „New York Times“ z 9.XII.1951 r., że w swoim czasie Komitet Partii Republikańskiej oszacował wydatki partyjne kampanii prezydenckiej na sumę 2.999.999 dolarów 48 centów. W ten sposób „zadośćuczyniono literze prawa“. „Reszta — pisze senator Benton — została zaksięgowana na kontach innych organizacji. Ta praktyka jest wspólna dla wszystkich partii“.

W podobny sposób omijano przepisy ustawy ograniczającej wydatki roczne jednej osoby na cele wyborcze do sumy 5 tysięcy dolarów. Od czasu uchwalenia tej ustawy, pieniądze na akcję wyborczą płynęły od żon bankierów, ich dzieci i urzędników. W 1944 r. na liście „ofiarodawców“ znajdował się nawet dwuletni Felix Du Pont, który poparł program republikański datkiem 5 tysięcy dolarów. (W 1940 r. powyżej 200 tysięcy dolarów wpłacili na różne komitety republikańskie członkowie słynnego klanu Du Pont — kontrolującego 5 potężnych koncernów o kapitale wynoszącym 6 miliardów dolarów).

A za kulisami...

W czasie przedwyborczych konwencji partyjnych, mających decydować o wysuwaniu kandydata na stanowisko prezydenta, uwaga całego społeczeństwa zwrócona jest nie tyle na wielką salę obrad i wygłaszane tam przemówienia, zawierające mało treści, a dużo ogólników i frazesów, ile na tak zwany „smoke - filled room“, czyli konferencyjne pokoje, pełne dymu cygarowego, w którym grube ryby partyjne prowadzą pertraktacje i przetargi.

Niezmiernie charakterystyczna pod tym względem była konwencja partii republikańskiej w czerwcu 1920 r. w Chicago. O konwencji tej pisze Karl Scgriftgiesser w książce p. t. „This was normalcy“ w następujący sposób: **„...Stanowisko Prezydenta Stanów Zjednoczonych było na sprzedaż. Koloseum** (sala, gdzie odbywała się konwencja) **wyglądało jak plac jarmarczny, zalany giełdziarzami, nafciarzami, magnatami kopalnianymi, fabrykantami broni, organizatorami zawodów sportowych, fabrykantami mydła...“**

Wśród gości przybyłych do „Miasta Wiatrów“ (Windy City — popularna nazwa Chicago) był Harry F. Sinclair, prezydent „Sinclair Oil Co.“, który zdążył już zainwestować w kampanii wyborczej sumę 75 tysięcy dolarów i zobowiązał się dopłacić na fundusz wyborczy dodatkową kwotę 185 tysięcy. Był też sędzia Elbert H. Gary, przewodniczący zarządu największego koncernu stalowego w Stanach Zjednoczonych „U. S. Steel“, który odznaczył się rozbiciem strajku robotników stalowych w 1919 r.; byli tam również Thomas W. Lamont, wspólnik Morgana i Edward Doheny, prezydent „Pan American Petroleum Co.“.

Ci właśnie goście decydowali o wynikach konwencji. Konferencje toczyły się nie na sali Koloseum, ale w trzypokojowym apartamencie zajmowanym w „Blakstone Hotel“ przez Will Haysa, przewodniczącego republikańskiego komitetu. Tam odbywały się przetargi, tam zapadały decyzje. W czasie obrad „New York Times“ (21.II. 1920 r.) ogłosił niezmiernie interesujący wywiad, przeprowadzony ze znanym działaczem republikańskim, Harry Daugherty, który lansował kandydaturę senatora Warrena Hardinga.

W wywiadzie tym Daugherty powiedział: **„Nie spodziewam się, aby senator Harding został nominowany w pierwszym, drugim lub trzecim głosowaniu, ale wydaje mi się, że możemy czekać i popróbować szans w piątek rano, mniej więcej jedenaście minut po drugiej, kiedy 10 do 20 osób, biorących udział w konwencji, zasiądzie wokół okrągłego stołu i któryś z nich zapyta, kogo zamierzają zamianować. W tej oto decydującej chwili przyjaciele Hardinga zaproponują jego kandydaturę i powinni się spodziewać dobrego rezultatu“.**

W listopadzie 1920 r. senator Harding został dwudziestym dziewiątym prezydentem Stanów Zjednoczonych, chociaż Daugherty omylił się co do dnia. Decyzja w tej sprawie została wydana na konwencji, przez małą grupę wielkich ryb partyjnych, kilka minut po drugiej w sobotę, a nie w piątek.

Dlaczego wybór padł na Hardinga wyjaśnił jednym zdaniem W. Thompson w książce: „Presidents I've known“ (Prezydenci, których znałem). **„Mogli z nim postępować, jak chcieli; mogli go tasować, jak talię kart“.** Rządy Hardinga i „historyczne“ skandale korupcyjne były tego niezbitym dowodem.

Kongres na służbie

Pieniądze dawane szczodrze na cele wyborcze są intratną inwestycją, przynoszącą obfite rezultaty. Prof. Louise Overacker, w książce „Money in elections“ pisze na ten temat: **„Wielki kapitał łoży poważne sumy na fundusze wyborcze. Banki, koleje, towarzystwa ubezpieczeniowe, instytucje użyteczności publicznej i przemysłowcy — dawali pieniądze szerokim gestem, chcąc wpłynąć na politykę taryfową i inne ważne akty ustawodawcze, chcąc otworzyć sobie gładką drogę do stałych żądań specjalnych przywilejów, albo też, chcąc ochronić się przed sankcjami karnymi za łamanie ustaw...“**
„...Niektórzy ofiarodawcy próbują pokryć się szatą publicznego interesu, często jednak nie czynią nawet wysiłku, aby ukryć swoje bezpośrednie zainteresowanie materialne“.

W 1932 r., słynny cynik amerykańskiej literatury, H. L. Mencken pisał: **„...Wybór prezydenta jest — rzecz jasna — sprawa każdego Amerykanina. Należy jednak w związku z tym zauważyć, że wybory te są dziełem zawodowych polityków, i to wyłącznie zawodowych polityków, i że co najmniej 9/10 spośród nich można kupić, jeśli nie po prostu za pieniądze, to w każdym bądź razie za dobrą posadę...“**

Od czasu, kiedy słowa te zostały napisane, liczba zawodowych polityków, których można kupić za pieniądze, na pewno nie zmniejszyła się. Politycy ci — do spółki ze swymi możnymi protektorami z Wall Street — decydują o kandydatach prezydenckich obu partii. Związek ich z monopolistami widoczny jest nawet ze sposobu, w jaki nazywa się niektórych senatorów. Senator poszczególnego stanu nie jest uważany za reprezentanta ludności tego stanu i jej interesów, ale za swego rodzaju ambasadora poszczególnych gałęzi przemysłu. Dlatego też w Stanach Zjednoczonych istnieje nazwa Cotton senator (bawełniany senator), Copper senator (miedziany senator), tekstylny, stalowy, węglowy czy żelazny.

David L. Cohn, w artykule zamieszczonym w „New York Times“ z 28.X.51 r. p. t. „The Big Danger is Apathy to Corruption“, opowiada o rozmowie swojej z jednym ze znanych lobbyistów waszyngtońskich, który pokazał mu kartotekę, zawierającą dane dotyczące wszystkich członków Kongresu. **„Każdy w Kongresie** — oświadczył ów rozmówca Cohna — **stanowi czyjąś własność. Właścicielem jego może być wydawca, bankier czy polityk. Jeśli ów gość nie zrobi tego, co uważam za właściwe, udaję się do jego właściciela“.**

Jan Górski

GEORGE BIDWELL

Anglia przed i po wyborach

„Jesteśmy w przededniu wielkich wydarzeń. Obecna sytuacja polityczna stwarza niezwykłe możliwości“.

Na 22-im Kongresie Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii padły te pełne nadziei słowa, w przemówieniu Harry Pollita. Zaledwie przed pół rokiem torysi zajeżdżali przed Westminster w swych inkrustowanych złotem limuzynach i obejmowali rządy w oparciu o większość parlamentarną, która wydawała im się wystarczająca, by władać krajem po swojemu przez pięć lat przynajmniej. Tymczasem...

Pierwszym ciosem i pierwszą dla torysów niespodzianką były wybory do władz samorządowych z końcem wiosny b. r. Jeden okręg za drugim uwalniał się od uścisku konserwatystów, w jednym okręgu za drugim torysi otrzymywali mniej głosów, niż w jakichkolwiek dawniejszych wyborach. Niespodzianka dla kół konserwatywnych była tym większa, ponieważ te liczne głosy, które padły na laburzystów, nie oznaczają wzrostu zaufania do obecnego kierownictwa Partii Pracy, lecz są wyrazem gwałtownej opozycji wobec realizowanej przez torysów linii politycznej.

Ostatni kongres Związków Zawodowych i inne związkowe konferencje rzuciły śmiało wyzwanie prowadzonej przez torysów polityce zagranicznej i wewnątrz-krajowej. Przedstawiciele 350 tysięcy członków Związków Pracowników Sklepowych i Dystrybucyjnych przytłaczającą większością głosów potępili gigantyczny program zbrojeniowy konserwatystów. Na tej samej konferencji uchwalono wniosek, żądający zawieszenia broni na Korei i rozpoczęcia rozmów wielkich mocarstw w sprawie potępienia wojny bakteriologicznej.

W tym samym czasie na Kongresie Spółdzielczym w Glasgow ponad 3 miliony głosów padło przeciwko programowi zbrojeń, uchwalając przy tym jednogłośnie żądanie Paktu Pokojowego między Pięciu Mocarstwami i ostro potępiając remilitaryzację Zachodnich Niemiec.

W obecnej chwili 6 milionów robotników brytyjskich atakuje politykę Partii Konserwatywnej za obniżanie poziomu życia, żądając zlikwidowania niewspółmierności między gwałtownie rosnącymi cenami a zamrożonymi, niskimi zarobkami robotników. W Wielkiej Brytanii od roku 1947 wzrost płac stale nie nadążał za wzrostem cen, natomiast zwiększono znacznie ilość godzin pracy na tydzień, zwiększono produkcję przemysłową na jednego robotnika i tym samym — zwiększono zyski kapitalizmu. Zdając sobie sprawę ze wzrastającego wyzysku człowieka pracy, takie związki zawodowe jak — pracowników budowy okrętów, pracowników technicznych, czeladników rzemiosł, pracowników sektoru dystrybucyjnego, nauczycieli, kolejowców, robotników rolnych, urzędników państwowych i górników — zażądały podwyżki płac.

Konflikt, grożący obaleniem rządu torysów — nie istnieje jednak wyłącznie na tej płaszczyźnie. Druga narastająca stale fala — to redukcja. Prawie połowa robotników zakładów bawełnianych okręgu Lancashire jest bez pracy, a sytuacja ośrodka przemysłu wełnianego, Yorkshire, nie przedstawia się lepiej.

Brytyjski minister Skarbu zaledwie przed paru dniami oświadczył z całym cynizmem, że:

„Bezrobocie będzie się stale zwiększało, dopóki zredukowani robotnicy nie będą skierowani do innych prac“.

Oznacza to, że rząd celowo tworzy kryzys w wytwórczości dóbr konsumcyjnych, aby zmusić robotników do przyjmowania pracy w fabrykach broni, jako jedynej ucieczki przed bezrobociem.

Minister kolonii rządu torysów, Oliver Littleton, przedstawił z rozbrajającą naiwnością „środki zaradcze“, które torysi doradzają wobec wysokich kosztów utrzymania:

„Gdyby każdy obywatel wypalał dziennie o dwa papierosy mniej, wyrównałby wzrost kosztów swego wyżywienia. Gdyby każdy obywatel ograniczył swoją zwykłą porcję piwa o ćwierć litra na dzień, osiągnąłby również ten sam rezultat“.

(Zresztą — proponując ten świetny sposób pan Littleton nie wyjaśnia, co mają zrobić miliony robotników, którzy od dawna nie mogą sobie pozwolić ani na papierosy, ani na piwo).

Takie są powody, dla których obecna sytuacja polityczna Wielkiej Brytanii obfituje w nieprzewidziane możliwości. Czynnikiem wielkiej wagi jest wzrost gniewnych nastrojów wśród ludzi pracy uświadamiających sobie, że pogorszenie ich sytuacji zostało wywołane celowo przez politykę rządu. Zresztą gniew ten kieruje się zarówno przeciwko torysom jak i przeciwko przywódcom prawego skrzydła Partii Pracy.

Oba te odłamy polityczne: torysi i prawe skrzydło Partii Pracy ponoszą winę za kolosalne wydatki na zbrojenia, które zburzyły równowagę budżetową. Zbrojenia kosztowały więcej niż całość sum wypłaconych Wielkiej Brytanii z tytułu pomocy marshallowskiej od roku 1948 do chwili obecnej.

Przed wyborami w październiku torysi przyrzekali, że będzie więcej mięsa, więcej domów mieszkalnych, więcej dóbr konsumcyjnych: obiecywali nie obcinać subsydiów żywnościowych, obiecywali zmniejszyć koszty utrzymania; kusili nawet obietnicą rozmów ze Związkiem Radzieckim. Prawoskrzydłowi przywódcy Partii Pracy, idąc na rękę torysom, postępowali kropka w kropkę tak samo.

Ale zdobywszy sobie pensje ministerialne torysi wyparli się w ciągu paru tygodni swoich wszystkich, co do jednej, obietnic przedwyborczych. Poprowadzili politykę eksploatowania rezerw surowców strategicznych imperium brytyjskiego, zachowania protekcyjnych rynków zbytu i źródła taniej pracy. Taką linię polityczną mogli realizować oczywiście pod warunkiem oddania Wielkiej Brytanii jeszcze bardziej w ręce arcyimperialistycznych „Sześćdziesięciu Rodów“ Stanów Zjednoczonych.

W budżecie konserwatywnym obcięto subsydia żywnościowe, które przed wyborami obiecano utrzymać; podwyższono ceny artykułów żywnościowych, zniesiono kontrolę cen; zmniejszono wydatki na opiekę społeczną; w chwili gdy w rezultacie pierwszego powojennego wzrostu liczby urodzin o dwieście tysięcy dzieci więcej wkracza w wiek szkolny, budżet konserwatystów obciął 14 milionów funtów z pozycji wydatków na oświatę, a wstrzymując budowę nowych szkół, skasował w praktyce jeden rok nauki szkolnej dzieci robotników. Podniesiono poważnie ceny przejazdów autobusowych i kolejowych, co znowu odbije się najbardziej na budżecie ludzi pracy.

Można by przypuścić, że taka sytuacja — gdy rząd torysowski prowadzi świadomą politykę antyludową, a lud gniewnie i ostro występuje przeciwko tej polityce — będzie świetną okazją dla laburzystowskiej opozycji w Izbie Gmin. Ale w rzeczywistości prawoskrzydłowi przywódcy Partii Pracy zawiśli w próżni, ponieważ nie mają w obecnej chwili żadnego własnego, różniącego się od konserwatywnego programu politycznego, a poza tym całkowicie wyczerpali kredyt osobistego zaufania, którym ich kiedyś obdarzyli wyborcy. We wszystkich ważniejszych sprawach przywódcy na ławach rządowych i przywódcy z ław opozycji zdumiewająco zgadzają się ze sobą.

Tylko drobna grupa posłów laburzystowskich, ulegając ostremu naciskowi swoich okręgów wyborczych, żąda nakreślenia nowej linii politycznej i energicznego atakowania torysów. Prawoskrzydłowi laburzyści oskarżają byłego ministra zdrowia, później ministra pracy w rządzie Partii Pracy, Aneurana Bevana, że to on spowodował tę „katastrofę“: wzrost bojowości oddolnych mas partyjnych.

Harry Pollit, przemawiając na Kongresie Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii, musiał polemizować z przypuszczeniem, że kierownicy Partii Pracy mogą być odpowiedzialni za radykalizm nastrojów oddolnych mas członków Partii Pracy:

„To nie Aneuran Bevan budzi masowy ruch, którego jesteśmy świadkami. Obecna sytuacja polityczna, problemy, w obliczu których stoimy i oddźwięk tych problemów w łonie Partii Pracy przyczynił się do powstania ugrupowania, znanego pod nazwą „grupy Bevana“.

Sytuacja, w jakiej znaleźli się w tej chwili torysi z jednej strony a laburzyści z drugiej, stwarza wielkie możliwości dla rozwoju wpływów Komunistycznej Partii. Albowiem Komunistyczna Partia Wielkiej Brytanii ma jasny, wyraźny i opracowany aż do najdrobniejszych szczegółów program polityczny. Tę sytuację rozumieją dobrze komuniści.

„My, komuniści, gotowi jesteśmy współpracować z każdym odłamem ruchu laburzystowskiego, którego polityka będzie w ogólnych zarysach zbliżona do naszego, określonego walką o pokój programu politycznego — mówi odezwa K. P. Wielkiej Brytanii.

Wydaje się, że sytuacja obecna w Anglii, sytuacja, kiedy do reszty skompromitowały się obie burżuazyjne partie — i torysi, i laburzyści, kiedy wśród ludzi pracy wzrasta coraz większe niezadowolenie z powodu niezrealizowania obiecanek przedwyborczych, stwarza warunki do powiększenia wpływów Partii Komunistycznej.

Gdyby członkowie różnorodnych ugrupowań w łonie ruchu laburzystowskiego, którzy dziś wyrażają głębokie niezadowolenie z powodu polityki rządu torysów i prawoskrzydłowych przywódców Partii Pracy, utworzyli zjednoczony front z Partią Komunistyczną, w oparciu o program walki o pokój i suwerenność Anglii, wówczas to w obozie kapitalistycznym wyrosłaby jeszcze jedna poza Francją i Włochami bariera dla wojennych zamierzeń USA — Anglia.

George Bidwell

DANTE PRAWDZIWY

(dokończenie ze strony 3-ej)

Weźmy np. „Piekło".

Już na samym wstępie znajdujemy w przedpiekłu te „dusze mizerne"

Które bez hańby żyły i bez cześci
Wiedzą że skonu dzień im się nie znaczy
A ciemnym bytem tak są tutaj mali
Że wszystko inne przenieśliby raczej...
...Nie mówmy o nich, popatrz i pójdź dalej.[6]

Jakże daleko jesteśmy tu od chrześcijańskiego postulatu pokory ducha a jak blisko rycerskiego ideału życia pełnego wielkich głośnych czynów:

...bowiem pod pierzyną
I w puchach łoża sławy się nie łowi.
A komu bez niej dni na ziemi płyną
Po takim ślad się podobny rozpyli
Dymem na niebie i wód szumowiną.[7]

A na samym dnie piekła znajdujemy przestępców winnych najgorszej ze wszystkich możliwych zbrodni — zdrady dobroczyńcy. I znów historyczny rodowód tej oceny, jej związek z klasą, w której wierność dla feudalnego seniora była cnotą najwyższą — jest zupełnie niewątpliwy.

Podobnie czy zaszeregowanie winnych grzechu nieczystości jako najłagodniejszych przestępców — i to zarówno wśród mieszkańców czyśćca jak i piekła — nie kazałoby szukać innego, nie kościelnego rodowodu?... Ostatecznie wiemy ile energii wkładał kościół w propagandę szóstego przykazania.

Niekiedy modyfikacje oficjalnej moralności kościoła mają charakter łagodniejszy. Nie odważając się wręcz występować przeciwko pewnym normom kościelnym, „przeszeregowywać" poważniej następstwo cnót czy przewinień, poeta zadowala się zamanifestowaniem swojej sympatii dla pewnej kategorii grzeszników. I tak np. sympatię jego budzą *wszyscy bez wyjątku* heretycy, będący zresztą często zarazem i ghibellińskimi sojusznikami politycznymi poety.

W kamiennych trumnach VI koła piekła płoną kacerze wszelkiego rodzaju. Wśród nich spotyka poeta wielkiego wodza Ghibellinów z połowy wieku XIII, Farinatę delli Uverti. I oto przy opisie jego kary poeta kreśli jedną z najwspanialszych strof „Komedii":

On wznosił piersi i czoło surowe
Jakby miał piekło w pogardzie bezdennej.[8]

Jakże nędzna wydaje się być siła, która wtrąciła do piekieł Farinatę, a nie potrafiła odebrać mu godności i dumy, jego spokoju odcinającego się tym silniej na tle rozskowyczonej tłuszczy z innych kręgów.

Fryderyka II, największego wroga kościoła i papiestwa epoki, nazywa się tam „panem godnym chluby", gdy papież Bonifacy VIII jest jednocześnie „nowym księciem faryzeuszów".

Drugą kategorią występków, dla której poeta ma szczególnie miękkie serce, są wszystkie niemal kategorie występków zmysłowych (z wyjątkiem winnych stręczycielstwa). Łzy wyciskają cierpienia pary romantycznych kochanków — Paola i Franciszki. Współczuje sodomitom z głębokich rejonów piekielnych, a nawet Jazon-uwodziciel budzi w nim głęboki szacunek. Chyba trudno go tu uważać za reprezentanta kościoła.

6) Piekło, Pieśń III.
7) Piekło, Pieśń XXIV.
8) Piekło, Pieśń X.

Tak spośród dysput teologicznych o miłości czy łasce uświęcającej, spośród wielokrotnych zapewnień o szacunku dla kościoła jako dla instytucji wyłania się nam Dante jakiegosmy nie znali. Wyłania się człowiek, który nie bacząc na normy obowiązujące wówczas z siłą, jaką dziś tylko z trudem możemy sobie wyobrazić, odważa się te normy zakwestionować; odważa się sam, własnym sercem i własnym rozumem dochodzić tego, co słuszne i oburzać się na to, co uważa za złe i niesprawiedliwe.

I niezależnie od tego, z jakich pozycji klasowych to robi, w imię jakiej ideologii, nie można nie widzieć w owym osłabianiu a nawet kwestionowaniu monopolu moralnego kościoła — zaczątków nowego wielkiego procesu dziejowego. Nie można nie widzieć w tym zaczątków racjonalizacji ludzkiego myślenia, która od średniowiecza prowadziła do renesansu, od epoki Grzegorza VII i Ryszarda Lwie Serce do epoki Leonarda da Vinci.

*

Pasja poety zwraca się nie tylko przeciw kościołowi. Ze swych ghibellińskich pozycji społecznych atakuje on z niemniejszą zajadłością nową siłę społeczną, która spycha jego klasę z widowni dziejowej: wielkie mieszczaństwo, oraz rządzoną przez nie Florencję.

Florencjo,nowy lud i nagłe zyski
Zazdrość i pychę zrodziły takową
Zę czuć zaczynasz gorzko ich uściski.[9]
...z trzech iskier chciwstwa, zawiści i pychy
Na wszystkie serca niegodziwość bucha.[10]

Jedno jest dlań niewątpliwe — oto moralność upada z dnia na dzień, oto chciwość i małoduszność nowych plutokratycznych władców miasta coraz to gorsze rodzi owoce: coraz gorzej się dzieje na świecie, doszło już do tego, że:

...ku niewiastek florenckich ohydzie
Z ambon wyklinać będą księże ręce
Taką co piersi odsłania w bezwstydzie.[11]

A oto główny sprawca tego zła:

Taki Florentczyk, co się dziś panoszy
Handlem, powracałby do Simifonti
Gdzieto dziad żebrał do torby trzech groszy.[12]

Teraz zrozumiałą staje się sprawa, od której zaczęliśmy ten artykuł. Rozumiemy odmienność perspektyw historycznych Giotta i Dantego. Wiemy dlaczego ród Scrovegnich musiał jako reprezentant wrogiej poecie klasy społecznej trafić do VII koła piekła. Lichwiarze byli czołówką finansową klasy spychającej szlachtę z widowni dziejowej. Dzięki nim przecież zginął świat, o którym z takim rozrzewnieniem pisze poeta:

Damy, rycerstwo, świat czynów i gwarów.
Dworności naszej i miłości szkoła
Tam kwitły, gdzie dziś wrósł występku narów.[13]

Jedyną nadzieją uratowania świata, jedyną szansą powstrzymania postępu zła jest idea zwycięstwa cesarstwa. Wiemy, że sprawie tej poświęcił poeta osobny traktat „O monarchii", w którym udowadnia, iż władza cesarza jest równorzędna z władzą papieża i od niej zupełnie niezależna. W „Komedii" wiele tercyn mówi o zbawiennych skutkach władzy absolutnej, o tym, jakim dobrodziejstwem będzie dla Italii zwycięstwo idei monarchicznej i przywrócenie casarstwa rzymskiego w dawnej jego wspaniałości i potędze.

9) Piekło, Pieśń XVI.
10) Piekło, Pieśń VI.
11) Czyściec, Pieśń XXIII.
12) Raj, Pieśń XVI.
13) Czyściec, Pieśń XIV.

Ludu coś winien czcić boże dopusty
Byłoż utrzymać na siodle cesarza...
...Albercie Niemcze, teraz mści się srodze
Żeś o niekarnym zapomniał biegunie
I boku jego nie poddał ostrodze...
...Przyjdź i posłuchaj jak twa Roma płacze
Z pustego łoża biada głos jej wdowi:
— Cesarzu ty mój, kiedyż cię zobaczę?[14]

*

Ale jest i odwrotna strona medalu.

Oto piewca wielkości zachodzącej epoki rycerskich „czynów i gwarów", zajadły wróg zwycięskiej elity plutokratycznej, ulega jej często wbrew i mimo swej woli, dając w „Komedii" świadectwo czasom nowym, stając się głosicielem mieszczańskiego ideału życiowego.

Jednym z naczelnych postulatów ideologii rycerskiej jest nakaz maksymalnsej konsumcji, nakaz hojności i rozrzutności, oczywiście tylko wobec... swoich. „Zastaw się a postaw się" — to hasło towarzyszy szlachcie dość różnych czasów i krajów. Pan de Blois, rycerz z wieku XIII pisał:

„Bóg nienawidzi bogatego chciwca równie jak ubogiego pyszałka".[15]

Jakże daleko jesteśmy od tego ideału rycerza-rozrzutnika rzucającego garściami pieniądze między przyjaciół i wasali. Kiedy Dante pyta z oburzeniem:

...Jestże w ludów rzędzie
Lud taki próżny jako nasz seneski?
Nawet z nim Francuz zrównany nie będzie.
A trędowaty: „Skoro liczysz kreski
Niechaj nie będzie wyłączony Stricca
Rozrzutnik, sławnie ochoczy do kieski
Oraz Niccolo, po którym praktyka
Nastała w kuchnię wprowadzać bogatą
Nieznany dotąd aromat goździka.

Postulat oszczędności, umiarkowania i racjonalnego gospodarowania własnymi dobrami, to bojowe zawołanie mieszczańskie w służbie pierwotnej akumulacji kapitału. Poeta nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, że oburzeniem swym służy sprawie, której z całego serca nienawidzi, że staje się głosicielem hasła, które zwycięży w pełni dopiero po stuleciach, w epoce rozkwitu kapitalizmu.

*

I jeszcze jedna sprawa.

Dante ceni sławę nie mniej niż jego rycerscy przodkowie, nie mniej niż jego pradziad Cacciaguide, który sławę zdobywał mieczem, walcząc w obronie grobu Chrystusa. Głośne, bohaterskie czyny, zuchwałość i pogarda śmierci dawały nieśmiertelność bohaterom średniowiecza. Ale poeta inaczej wyobraża sobie swój ideał życiowy. Nie bohaterstwo z orężem w ręku, nie pogarda śmierci zapewnią mu pamięć nieśmiertelną u potomnych, ale laur poetycki. A drogą najpewniejszą do wielkości, a więc i do sławy, jest wiedza.

14) Czyściec, Pieśń VI.
15) Cytat wg J. Chałasińskiego: „Wychowanie w domu obcym".

I dziś mię nauk twych wspomnienie nie wzruszy
Jak zyskać wieczność przez wiedzy zdobycie[16]

mówi Dante do swego mistrza i nauczyciela, Brunetta Latini.

I tu, w tym kulcie wiedzy jako najwyższej wartości, czujemy tchnienie czasów nowych. Czujemy w tym zapowiedź kultury, która myśl uzbrojoną w naukę uczyni najwyższą miarą spraw ludzkich, narzędziem poznania i opanowania świata.

Tu już jesteśmy u progu Odrodzenia.

Podobnie należy pamiętać, że ów poeta wpatrzony w rycerskie średniowiecze torował jednocześnie siłą swego talentu drogę literaturze czasów nadchodzących, że drapieżnym realizmem swego pióra uczył potomnych patrzeć na świat otaczający. Że przez swoje subiektywne, pełne osobistej pasji spojrzenie na świat i ludzi nie mniej niż przez kult wiedzy zbliżał się do epoki, którą zwiemy humanizmem.

Nie wolno też zapominać, że ów twórca narzekający na rządy ludzi z gminu wyrosłych pisał w języku tego gminu a nie w niedostępnej dlań łacinie.

„Żył więc Dante w Rawennie — pisze Boccaccio — i tu pouczał discypulów o kunszcie poezji w języku ludowym pisanej. I twierdzę przy tym, iż tak jak Homer, Cycero, Wergiliusz-Rzymian, tak on Włochów mowę swą rodzinną kochać nauczył... pokazał, że o każdej materii w mowie tej rozprawiać można i język ludowy ponad wszystkie języki nacji postronnych sławnym uczynił."[17]

*

Kiedy florencki banita pisze swoją „Komedię", to jego namiętność, pasję polityczną trzymają na wodzy jedynie wymogi doskonałości formy. Ziejąc nienawiścią do swej ukochanej a gwelfickiej Florencji, miotając góry pogardy na głowy niegodnych sterników nawy piotrowej, jednocześnie liczy starannie tercyny i pieśni, by na krok nie odstąpić od zamierzonej z góry kompozycji całości. „Komedię" przez potomnych później „Boską" nazwaną, rodzi pasja człowieka czynu i żelazna dyscyplina świadomego swej wielkości i celów twórcy.

I oto w dziele poety, który jak najdalszy był od „ponadpartyjnego obiektywizmu", który wyraźnie widział swoje miejsce u boku określonego obozu politycznego — skupiają się jak w soczewce wszystkie niemal idee i prądy jego czasów. Pod jego piórem, mimo czy wbrew jego woli, rozgrywa się cały dramat dziejowy przełomu od średniowiecza do renesansu w całej swej wielkości, w całej swej złożoności i bogactwie konfliktów społecznych i ideologicznych. Dantemu — piewcy wielkości epoki rycerskich czynów przeciwstawia się Dante — herold nadciągającej epoki panowania mieszczańskiego rozumu. Florenckiemu patriocie i sympatykowi arystokratycznych Ghibellinów przeciwstawia się pierwszy narodowy poeta całej Italii. Przeciwstawia się twórca, który wprowadził do sztuki język ludowy czyniąc go narzędziem artystycznym na miarę wielkości swego geniuszu, na miarę wielkości swojej epoki.

Kiedy wczytujemy się w ów dramat epoki przełomu,jakim jest dantejska „Komedia", „Boską" przez potomnych nazwana, przypomina nam się powiedzenie Engelsa:

„Zmierzch feudalnego średniowiecza, zorzę współczesnej kapitalistycznej ery znaczy gigantyczna postać. To Włoch Dante, ostatni poeta średniowiecza i zarazem pierwszy poeta czasów nowożytnych".

Stefan Nowak

16) Piekło, Pieśń XV. Przekład A. Świderskiej.
17) Boccaccio „Żywot Dantego".

Książki

Życiorys bojownika

Anna Wysznacka — „Bliżej świtu" — Opowieść o towarzyszu Krzosie. — „Książka i Wiedza" — Warszawa 1952, red. odp. **Janina Barchanowska.**

W roku 1923 na Trzeciej Konferencji KPRP uczczono przez powstanie śmierć młodziutkiego Józefa Krzosa, działacza starachowickiego Związku Zawodowego Metalowców, komunisty, który oddał życie za sprawę rewolucji proletariackiej, storturowany na śmierć przez policję granatową w czasie śledztwa. Od Józefa Krzosa nie uzyskano żadnych informacji. Pozostała po nim zorganizowana komórka, pamięć i żal w sercach towarzyszy, których przykładem swym zagrzewał do tym gorętszej walki.

Powieść Anny Wysznackiej została napisana na prośbę dawnych towarzyszy Józka, robotników starachowickich. Jest to więc powieść biograficzna.

O ludziach, z których poświęceń wyrosło nasze nowe życie, powstanie jeszcze nie jedna powieść. Złoża przykładów, złoża tradycji są tu prawie nietknięte i nieprzebrane. Dowodem może służyć ostatni utwór Newerlego, którego wielką wartością jest właśnie to, że te tradycje wskazuje, że do nich sięga.

Powieść Anny Wysznackiej mówi o dziejach właściwych bohaterów tamtej epoki, jednak tło, na którym rozgrywa się akcja, jest mniej rozległe. Autorka nie pokusiła się o dokonanie przekroju złożonej struktury społecznej, ograniczyła obszar, na którym skupia się akcja — do jednego punktu: zakładów starachowickich.

Nie jest to jednak zwężenie spojrzenia, bo w Starachowicach dzieją się wielkie polityczne fakty. I pobór wrogo w stosunku do wojny z ZSRR nastawionych robotników, i narastanie nastrojów rewolucyjnych w związku ze zwycięską rosyjską rewolucją, i represje rządu — wszystko to szeroką falą przeszło przez Starachowice i wszystko to nie jest przemilczane na kartach powieści Wysznackiej. Widać, że autorka zbierała solidnie materiał, że starała się oddać prawdę tamtych dni, polityczny układ sił w Polsce w latach dwudziestych. — Wszystko są to wartości książki pisanej językiem prostym, pomyślanej jako utwór agitacyjny.

Powieść Wysznackiej w dużej mierze swoje zadania spełnia. Czytelnik nawiązuje kontakt z Jozkiem, lakoniczna notatka o męczeństwie chłopca nabiera dlań nowej treści. Wiemy już nie tylko, że „ktoś" zginął, ale nawet mniej wrażliwy odbiorca w i d z i tę śmierć i uzmysławia sobie jej następstwa, ot, chociażby te najbardziej namacalne: rozpacz matki, brak żywiciela, nędzę w domu. Toteż sądzimy, że za książką Wysznackiej przyjdą inne, podobne beletryzowane biografie bojowników. Nie znaczy to, naturalnie, że będą to utwory pod każdym względem do powieści— Bliżej Świtu — podobne. Jak każdy utwór nowatorski, próba Wysznackiej nie jest wolna od błędów:

W biografii może razić zbyt daleko posunięta dowolność, jeżeli chodzi o budowanie literackiej fikcji. Autorka nie wyjaśnia, które osoby i w jakiej mierze musiała wypełniać fantazją, nie daje czytelnikowi żadnej pomocy przy oddzielaniu fikcji literackiej od historycznej prawdy.

Może ta wielka lekkość w traktowaniu realiów doprowadziła do przykrego potknięcia w zakończeniu dzieła, mogącym sugerować zbyt powierzchowny autorski optymizm, sprzeczny zresztą z tonem całości: powieść, która miała nam uzmysłowić, jak wielki był ciężar walki, jak wielkie poniesiono ofiary, a co za tym idzie, jak wielki jest nasz dług i nasza odpowiedzialność, kończy się tak:

— Jeden z towarzyszy westchnął: „Jakie to jednak smutne, że walczył z nami, pracował i nie dożył zwycięstwa. Nie doczekał naszej władzy. Jakby on teraz pracował, jak się cieszył życiem..."

Ktoś inny odpowiedział: „Mylicie się, towarzyszu. Nie ma w jego śmierci smutku..."

Nie. Stojąc nad starą mogiłą nie odczuwaliśmy smutku... — (str. 195). Czy każdy smutek jest zarazem mazgajstwem, czy nie należy żałować towarzyszy, czy zdawanie sobie sprawy z ogromu poniesionej ofiary nie idzie w parze ze zrozumieniem jej konieczności? — To zakończenie zbyt kategoryczne i zbyt prędkie wydaje się, że nie jest odpowiednim ani ideologicznie, ani artystycznie zamknięciem książki.

Zofia Woźnicka

Portret wiejskiej kobiety

Grigorij Miedyński. MARIA. Przekład **Stanisława Strumph - Wojtkiewicza.** „Książka i Wiedza", Warszawa 1952, str. 579.

Maria Morozowa, bohaterka niedawno wydanej w polskim przekładzie powieści G. Miedyńskiego „Maria" (utworu wyróżnionego w roku 1950 Nagrodą Stalinowską III stopnia) — to jedna z wielu milionów prostych, skromnych kobiet rosyjskich, które Wielki Październik wyprowadził na szeroki szlak historycznych przemian, którym Konstytucja Stalinowska dała pełne i faktyczne równouprawnienie z mężczyznami, postawiła je w rzędzie śmiałych i ofiarnych budowniczych socjalizmu.

Do Marii Morozowej, kołchoźnicy w Podsosenkach (niewielkiej wsi w jednym z obwodów nadwołżańskich), hartującej swój charakter w ciężkiej, wytrwałej pracy i walce z przeciwnościami i wyrastającej w rezultacie na wzorową kierowniczkę kołchozowego kolektywu — można odnieść słowa Józefa Stalina, wypowiedziane w roku 1933 na I Wszechzwiązkowym Zjeździe kołchoźników-przodowników: **„...ruch kołchozowy wysunął na stanowiska kierownicze cały szereg wybitnych i zdolnych kobiet. Spójrzcie na zjazd, na jego skład osobowy — a zobaczycie, że kobiety dawno już wyszły z zacofania i stanęły w pierwszych szeregach. Kobiety w kołchozach — to wielka siła. Chować tę siłę pod korcem, to znaczy popełnić przestępstwo. Nasz obowiązek polega na tym, żeby w kołchozach wysuwać kobiety naprzód i uruchomić tę siłę."** (J. Stalin. „Zagadnienia leninizmu". Warszawa, 1949. Str. 424).

Siłę tę rozbudzoną w latach pierwszych pięciolatek Stalinowskich rozkołysała jeszcze bardziej Wielka Wojna Narodowa, podczas której ciężar pracy w kołchozach spoczął głównie na barkach kobiet, starców i wyrostków. Ogrom zadań, jakie postawiła Partia przed bohatersko pracującym zapleczem radzieckim, wymagał od kobiety silnej woli, wytrzymałości i hartu, sprzyjał jej wewnętrznemu rozwojowi, jej wyrastaniu.

Literatura radziecka, literatura realizmu socjalistycznego w wielu utworach odzwierciedliła te wielkie przemiany, to gigantyczne zjawisko, które swoim zasięgiem objęło dziesiątki milionów kobiet radzieckich. Grunia Wasilcewa z powieści J. Malcewa „Z całego serca", Lena Zorina z powieści S. Antonowa „Lena", Alona Fomina — tytułowa bohaterka pięknego poematu A. Jaszina — to wspaniałe postacie bohaterskich kobiet radzieckiej wsi kołchozowej w groźnych dniach wojny.

Autor powieści o „Marii" — Grzegorz Miedyński — z zawodu pedagog — należy do pisarzy starszego pokolenia. W swoim pierwszym utworze, w powieści „Budowa" (Tytuł rosyjski: „Samstroj", 1931) Miedyński zobrazował przemiany duchowe, jakim uległ pracujący na socjalistycznej budowie robotnik sezonowy, były właściciel indywidualnego gospodarstwa chłopskiego.

Akcja powieści rozpoczyna się w chwili, gdy Maria — po zmobilizowaniu jej męża, Siemiona Morozowa, a niedługo potem — również syna i córki — pozostała sama ze swoim smutkiem, kłopotami i obowiązkiem ciężkiej, męskiej pracy.

Już po kilku tygodniach Maria w sprawach kołchozowych wykazała śmiałą inicjatywę. Gdy zaś kołchoz stanął wobec konieczności zmiany przewodniczącego, kołchoźnicy na propozycję władz partyjnych ją właśnie jednogłośnie wybrali.

Kiedy Maria decyduje się wstąpić do partii — **„choć ja nieuczona** — mówi na Egzekutywie Komitetu Rejonowego — **sercem jestem po stronie prawdy i chcę, aby partia zrobiła ze mnie człowieka". „...Czy gotowi jesteście związać swoje życie z partią?"** — padło pytanie sekretarza. **„Jestem gotowa, Iwanie Iljiczu".**

Druga część powieści oparta jest na konflikcie między Marią a jej mężem Siemionem. Morozow, mąż Marii, wrócił z wojny pełen zapału do pracy, pełen tęsknoty za żoną, za rodziną. Dzieci nie zastał: syn zginął na froncie, córka pracuje w mieście, w fabryce traktorów. A Maria? Jej też nie zastał na tym miejscu, gdzie zostawił ją owego lata 1941 roku, gdy szedł na front. Maria zrobiła duży krok naprzód, wyrosła na działaczkę znaną i cenioną w całym rejonie.

Siemion nie zrozumiał Marii, nie pojął tych przemian, jakie zaszły w niej i innych kobietach w czasie wojny. Bolało Siemiona to, że jest tylko „mężem Marii", był też nieco zazdrosny o żonę stale zajętą i często przebywającą poza domem.

Konflikt przełamuje się wreszcie na gruncie wspólnie podjętej pracy.

Krytycy radzieccy zgodnie wytknęli Miedyńskiemu, iż nie pokazał w całej okazałości i w pełni walorów wychowawczych i artystycznych — postaci Marii jako matki.

Przekład Strumph-Wojtkiewicza dobry. Na uznanie zasługuje wielki wkład pracy przy oddaniu realiów powieści oraz spolszczenie licznych przysłów, idiomatycznych powiedzeń i wyrażeń ludowych.

Józef Spinc

POLSKA W DZISIEJSZEJ POEZJI SŁOWACKIEJ

Ciąg dalszy ze str. 5-tej

Varszava, naszu poranená láska,
udy ti skrvavily araczie zuby
bomb a min.
A predsa s gestom bojovym
zaczinasz znova žit a liubit.
Nenájdesz svoje mrtve deti
v rozvalinach.
Ožili.

Dviha sa táto vlast
na pracovni boje.
Varszava,
chcel by som v tvoje nové stavby vrást,
v buduce sztiastné roky tvoje.

Wystarczy uzupełnić kilka słówek „draczie zuby" — smocze kły, „predsa" — przecież, „vlast" — ojczyzna, ziemia, a tekst odszyfrujemy w 90 procentach.

Wszyscy wymienieni dotąd pisarze pisali wyłącznie o Warszawie. Jeden tylko Vojtiech Mihálik[5]) (ur. 1926), współpracownik bratysławskiego tygodnika literackiego „KULTURNI ŽIVOT", mówi w cyklu „Polsky Pamatnik" (1948—1950) również o innych miastach: o Wrocławiu, Gdańsku, Krakowie.

Mihálik zwiedził Polskę we wrześniu 1948. Jego „Polsky Pamatnik"[6]) obejmuje w całości 8 utworów: „Sonet z daleka", „Mier" („Pokój"), „Wrocław", „Babie lato", „Ekspres", „Wieczór" (stosunkowo najlepszy z wszystkich), „Polskę" i cytowaną już „Warszawę 1948".

W 1951 roku stworzył poeta nowy, głęboko i pięknie odczuty wiersz o tematyce polskiej: „Śmierć Juliusza Słowackiego".

I tak z roku na rok powstają w Słowacji nowe utwory poetyckie o Polsce. I tak z roku na rok rośnie przyjaźń pokrewnych kulturą sąsiadów.

Aleksander Kulisiewicz

5) wydał w 1947 r. cykl symbolicznych szkiców pt. „Anjeli"; przekłada m. in. Plauta i Moliera
6) „Polsky Pamatnik" wchodzi w skład tomiku „Plebejska kosila" (nakł. „Knižnicy Slovenskych Pohliadov", 1950, 71 str., 1.500 egz.).

Przegląd prasy zagranicznej

Z czego żył Wiktor Hugo?

Przeciwnicy Wiktora Hugo i jego fałszywi przyjaciele przekazali swym następcom krzywdzącą legendę o zachłanności, spryciarstwie finansowym i interesowności wielkiego pisarza. Opinia utrzymywała się tym łatwiej, że zawistników i wrogów osobistych — szczególnie w epoce twórczości rewolucyjnej Wiktora Hugo — temu genialnemu twórcy nie brakło; na domiar, Wiktor Hugo zdobył sobie pod koniec życia dość znaczną fortunę, osiągniętą dzięki mrówczej pracy i wielkiej ilości wydań swych dzieł. Wystarczyło to, by zacni koledzy mówili o nim jak o szakalu żerującym na wydawnictwach i literaturze.

Z kalumniami tymi rozprawia się wydana świeżo we Francji książeczka, zatytułowana: „Z czego żył Wiktor Hugo?", której autorami są Partice Boussel i Madeleine Dubois. (Ed. Deux Rives) Na podstawie dokładnych studiów nad notatnikami zawierającymi rachunki oraz nad przechowywanymi kontraktami, autorzy opisują nam, jak zmieniał się stan posiadania wielkiego romantyka od okresu całkowitego ubóstwa, około roku 1820 — do samotniczego lecz dostatniego pobytu na wyspie Guernesey, gdzie poeta wydawał jedną trzecią swego budżetu na pomoc potrzebującym.

Prawda, przychody swe lokował rozsądnie, ale wszystkie jego zarobki pochodziły jedynie z pracy pisarskiej. Sam żył skromnie i każdy wydatek, wiącznie z goleniem, strzyżeniem i opłatą za przejazd powozem, skrupulatnie notował w karneciku. Nie był elegantem: pod jedną z dat uwidoczniony jest zakup płaszcza z alpagi i kamizelki, które nabył w domu konfekcyjnym „La belle Jardiniere", nie zaś — jak to robiły nawet co zamożniejsze mieszczuchy — u szykownego krawca na zamówienie.

Jeśli idzie o umowy — jak wynika ze szczegółowych badań — wywiązywał się z nich skrupulatnie i jak najdosłowniej, lojalny i pamiętny wobec złożonych przyrzeczeń.

Książeczka „Z czego żył Wiktor Hugo?" napisana jest ciekawie i żywo i przedłuża tradycję francuskich przyczynków z cyklu „wścibstwa biograficznego". Ale publikacja ta ma również znaczenie rehabilitacyjne.

◆

Całkowicie odmienny charakter ma książka poświęcona również Wiktorowi Hugo, którą napisał Florimond Bonte. Nosi ona tytuł „Rycerz pokoju", a podtytuł „Hołd złożony Wiktorowi Hugo". (Le chevalier de la Paix. Ed. Sociale). Takie jest też znaczenie tej książki. Ukazuje ona, jak jeden z najwspanialszych poetów Francji „wmieszany jest w walkę", jaką prowadzi we współczesnej Francji obóz postępu, jak utwierdza go w jego nadziejach, protestach i niezłomnej wierze. Jest to książka pełna prostoty i szlachetności, bez pretensji literackich. Wiktor Hugo towarzyszy swymi strofami Florimondowi Bonte i jego towarzyszom w więziennej celi w roku 39-tym, wzywa do walki po stronie republikańskiej Hiszpanii, krzepi działaczy ruchu oporu, sławi walkę o pokój, oburza się na zbrodnie kolonialne.

Książka Florimonda Bonte, wyrosła z umiłowania poezji Wiktora Hugo, potwierdza, jak wielki jest „dar obecności" wielkiego pisarza, którego jubileusz święcą w tym roku wszystkie ludy świata.

j. h.

„Śmierć komiwojażera"

„Niepokojący sukces" — tak pisze kronikarz „American Literature and Nation" o sztuce Artura Millera, granej pod tytułem „Śmierć komiwojażera" od wiosny 1949 roku bez przerwy, przez broadwayski „Theater Morosco". Każdego wieczora 2.000 nowojorczyków stoi w kolejce przy kasie, ale tylko połowa z nich dostaje się do teatru, który liczy 1200 miejsc. Chociaż krytyka określiła „The Death of a Salesman" („Śmierć komiwojażera") jako „tragedię najbardziej rozgadaną od czasów Hamleta", w Hollywood nakręcono tę sztukę, zachowując wszystkie długie monologi i dialogi, charakterystyczne dla stylu Millera; pomimo tego film, który wszedł na ekrany przed kilku tygodniami, zapowiada się jako jeden z sukcesów kasowych sezonu.

Dramat Millera „Synowie", grany był w Polsce w r. 1947; dzieje handlarza, pokryjomu sprzedającego Niemcom broń na wojnę, w której ginie jego własny syn Krytyk „Lettres françaises" przyrównał wtedy Millera do tragediopisarzy antycznych, u których zbrodnia początkowa, po latach, sprowadza nieuchronną karę; podobny fatalizm moralny znajdujemy w dramaturgii Millera: zniszczenie rodziny, której wieloletni dobrobyt zbudowany był na wyzysku. W „Śmierci komiwojażera" Miller podejmuje inne zagadnienie etyczne, kluczowe dla zrozumienia przeciętnego Amerykanina „middle class" (drobnego mieszczanina). Ta właśnie publiczność, widząc w tragedii obraz swego losu, zapewniła sztuce sukces, którego nie przewidywali teatralni menażerzy Broadwayu, określając dramat jako „smutny, nudny i demoralizujący".

„Śmierć komiwojażera", to historia fiaska życiowego drobnego handlarza. Wychowany on jest, jak każdy Amerykanin, na mitologii sukcesu, i „wyzyskanie szansy" jest jego myślą maniakalną, nie opuszczającą go nawet w marzeniu sennym. U schyłku życia przekonuje się on, że nie doszedł do niczego, zaś całe lata sterpiał, dręcząc się stopniowym znikaniem nadziei na sukces. Jego dwaj synowie, również wychowani w kulcie kariery, pogardzają ojcem i robią mu gorzkie wyrzuty, mimo że, jako darmozjady i infantylni „sportowcy", sami niewiele potrafią. Komiwojażer wyjeżdża więc do dziewczyny ulicznej, z którą pociesza się od lat, ale i ta ma dosyć tego małego, zgryzionego człowieczka: rozstają się po zawziętej kłótni na temat wzajemnego marnowania sobie życia. Bohaterowi zostaje marzenie, jako jedyna ucieczka, ale i tu nie może się opędzić od straszliwej zasady życiowej, którą wbito mu w głowę w dzieciństwie, która przeniknęła niejako w jego krew: marzy o sukcesie", rozmawia z wizją swojego wyidealizowanego brata, Bena, który zrobił karierę, i kiedyś proponował Willy'emu wyjazd na Alaskę; ale Willy wolał zostać w Brooklynie, i tak przegrał życie... Wpadłszy w podobny stan marzycielski, wyobrażając sobie że ściska swoją dziewczynę w hotelu, przed 15 laty, Willy pośliznął się w łazience i uderzył głową o posadzkę; ten wstrząs sprowadza jego śmierć. Jego żona Linda, dręcząca się z nim lata całe, wynędzniała, w czarnym welonie, składa wiązkę ubogich kwiatów na grobie komiwojażera: „Wybacz, Willy, ale nie chce mi się płakać".

Jest ciekawe, że reżyserem sztuki w przedstawieniu na Broadwayu jest Elia Kazan, z grupy postępowych ludzi teatru i kina, oskarżonych w sławnym procesie „10-ciu z Hollywoodu". Jednakże sam Miller odchodzi od pozycji „progresistów", nie podsuwa żadnego rozwiązania ideologicznego; tragedia jego jest wyłącznie ponurym studium psychologicznym. Krytyka przypomina z okazji „Śmierci komiwojażera" utwory o podobnym nastroju, z okresu przed triumfem faszyzmu w Niemczech, Hiszpanii i Włoszech, jak np. sztuki Pirandella, wyrażające wstręt do życia u przeciętnego mieszczucha, i jego ochotę do „ucieczki w kogoś innego"; tak „Nieboszczyk Mateusz Pascal, skromny urzędnik, dręczony przez żonę-sekutnicę, wygrywa na ruletce, i przez pomyłkę uznany zostaje za zmarłego; może rozpocząć „nowe życie", wchodzi w nową skórę, i z radości dostaje ataku histerycznego śmiechu, gdy czyta własny nagrobek na cmentarzu. Bohater Unamuna uważa życie za tak ohydne, że radby się rozpuścić we mgle (w powieści „Mgła"). Te dzieła, owoc rozczarowania i obrzydzenia, poprzedziły nadejście Mussoliniego i Franco, którzy przynieśli zdegustowanym drobnym mieszczanom „powiew nowego życia". Sukces tragedii Millera nie musi więc być objawem moralnie pocieszającym; jest on rezultatem zgagi, jaką chętnie zdyskontuje nowy imperializm.

(zkł)

Miss Truman między aniołkami

Prasa sztokholmska ostro krytykuje amerykańską ochronę, która pilnuje miss Truman, odbywającą podróż rozrywkową. Gazeta liberalna „Expressen" pisze, że jeden z fotografów chcąc na dworcu zrobić zdjęcie miss Truman, usłyszał od aniołka: „Jeżeli ją sfotografujesz, to cię znokautuję."

Największy dziennik szwedzki „Dagens Nyheter" zwraca się do ministerstwa spraw zagranicznych, aby wyjaśniono ludziom z ochrony „granice ich władzy w Szwecji"

Codzienna gazeta wieczorna „Aftonbladet" podkreśla, że policjanci pilnujący miss Truman są uzbrojeni. Broń noszą ukrytą prawdopodobnie w specjalnej kieszeni pod pachą. Ordynarnie i bez ceremonii zatrzymują mieszkańców Sztokholmu, którzy chcą przejść tamtędy, gdzie miss Truman ma właśnie ochotę zatrzymać się. „Aftonbladet" pisze:

„Powinno się zwrócić uwagę osobom powołanym z ambasady amerykańskiej, że nie jesteśmy przyzwyczajeni do tego rodzaju zachowania się w naszym kraju.

Zresztą życiu miss Truman nie grozi żadne niebezpieczeństwo — przecież nie przyjechała tutaj, aby śpiewać."

fr.

Z TYGODNIA

W KRAJU

ZMARŁ JÓZEF WĘGRZYN

jeden z najwybitniejszych artystów sceny polskiej. Przeżył lat 68. Rozpoczął swą pracę artystyczną występami na wieczorkach amatorskich urządzanych przez młodzież szkolną w Krakowie. Młodego artystę wprowadziła następnie do utworzonego przez siebie zespołu „Sceny wolnej" Gabriela Zapolska.

W r. 1905 angażuje Węgrzyna Ludwik Solski, który objął wówczas kierownictwo krakowskiego Teatru Miejskiego. Dalszy etap życia artysty — to praca w zespole Teatru Polskiego w Warszawie pod dyrekcją A. Szyfmana. Węgrzyn stwarza w tym okresie wiele pamiętnych kreacji, przede wszystkim w repertuarze t.zw. monumentalnym (m.in. w „Kordianie", „Dziadach", „Irydionie", „Balladynie"). Bezpośrednio przed wybuchem wojny w r. 1939 występuje w sztuce Shawa „Genewa" w roli stanowiącej polityczną karykaturę Hitlera. Spowodowało to późniejsze uwięzienie artysty przez gestapo. Po wyzwoleniu kraju występuje w Łodzi, Warszawie i w teatrach prowincjonalnych.

DWIE BRAKUJĄCE KARTY PERGAMINOWE Z BIBLII KRÓLOWEJ ZOFII

czwartej żony Władysława Jagiełły — odnaleźli pracownicy wrocławskiej Biblioteki Uniwersyteckiej, porządkując zbiory dawnej Biblioteki Miejskiej we Wrocławiu. Biblia ta była pisana w r. 1455. Obecnie poszukuje się 3 pozostałych kart bezcennego zabytku naszego piśmiennictwa.

W archiwum tej samej biblioteki odnaleziono również napisany w wersji śląskiej zbiór polskich pieśni ludowych z połowy ubiegłego stulecia.

PRZED II MIĘDZYNARODOWYM KONGRESEM SKRZYPCOWYM IM. H. WIENIAWSKIEGO

w ośrodku szkoleniowym w Łagowie Lubuskim odbyły się eliminacje centralne. Spośród kandydatów wytypowano 9 artystów: W. Wiłkomirską, E. Statkiewicza, H. Palulisa, I. Iwa-[illegible]a, St. Lenz-Lewandowskiego, Z. Bąkowskiego, J. Kanię, Z. Morawskiego i E. Sieję. O ostatecznym składzie ekipy konkursowej zadecyduje kontrolne przesłuchanie kandydatów w listopadzie.

25 TYS. PIEŚNI LUDOWYCH

zebrały dotąd ekipy Państwowego Instytutu Sztuki, które od lipca 1950 r. prowadzą akcję badania folkloru muzycznego. Towarzyszące tym ekipom zespoły techniczne Polskiego Radia nagrały na płyty lub taśmy magnetofonowe 17 tys. pieśni.

W r.b. akcją tą objęto regiony: krakowski z Podhala, śląski, kielecki, olsztyński i gdańsko-pomorski. Ostatnio grupa studentów muzykologii pod kierownictwem prof. A. Riegera rozpoczęła poszukiwanie na terenie Kurpi — gdzie zebrano już 589 pieśni.

Poza wartością dokumentarną zebrane pieśni stanowią cenny materiał repertuarowy. M.in. jedną z podsłuchanych melodii kieleckich — kołysankę robotniczą, włączył do swego repertuaru zespół „Mazowsze".

ZESPÓŁ PAŃSTW. TEATRU POWSZECHNEGO I ZAŁOGA FSO NA ŻERANIU

zawarły umowę o stałej współpracy kulturalnej. Zespół teatru obejmuje opiekę nad pracą kulturalno-artystyczną w FSO, specjalnie delegowani członkowie zespołu pokierują w Zakładach pracą sekcji dramatycznych, recytatorskich i baletowej. Ponadto będą organizowane przedstawienia na terenie FSO, a załodze zostanie w najszerszym zakresie ułatwione nabywanie biletów ulgowych na wszystkie wystawiane przez teatr sztuki.

Tak więc Zakłady „Ursus" i FSO mają już „swoje" teatry — Polski i Powszechny. Oczekujemy na dalsze wiadomości z frontu zbliżania sceny do hal fabrycznych.

PRAPREMIERY SZTUK RADZIECKICH

— w sezonie jesienno-zimowym teatry całego kraju wystawiają po raz pierwszy w Polsce osiem sztuk współczesnych autorów radzieckich: „Pociąg pancerny" W. Iwanowa (Warszawa), „Niezapomniany rok 1919" i „Tragedia optymistyczna" W. Wiszniewskiego, „Z iskry" Sz. Dadianiego i „Dyrektor" S. Aloszyna (Łódź), „Ilja Gołowin" S. Michałkowa (Kraków), „Zagłada eskadry" A. Kornijczuka (Katowice), „Przystanek Dalekie" A. Afinogenowa (Poznań, Toruń, Bielsk).

SZTUCE RENESANSU

jest poświęcony drugi tom „Podręcznika Historii Sztuki Polskiej", który przygotowuje do druku Państw. Instytut Sztuki. Wkrótce ukaże się również „Słownik historyczny sztuk plastycznych", obejmujący całokształt twórczości artystycznej w jej rozwoju historycznym i w powiązaniu z historią kultury materialnej. Prace nad tym wydawnictwem prowadzono przy współudziale ok. 120 naukowców z różnych dziedzin sztuki.

„SZEKSPIR W POLSCE"

— sekcja teatru Państw. Instytutu Sztuki oddała do druku m.in. pracę dr W. Hahna, zawierającą pełną bibliografię szekspirologii polskiej i wszystkie inscenizacje sztuk Szekspira w teatrach polskich do chwili obecnej. Sekcja muzyki przygotowała do druku m.in. „Podstawy estetyki muzycznej" prof. dr Z. Lissy.

Z WYDRĄŻONYCH PNI DRZEWNYCH

długości od 3 do 5 m, spajanych metalowymi obręczami, zbudowano w XVI wieku wodociągi bydgoskie. Wodociągi te odkryto w czasie robót ziemnych przy Wełnianym Rynku. Do budowy wodociągów uprawniał miasto specjalny dokument, wydany przez króla Zygmunta I w r. 1523.

ZA GRANICĄ

„ADAM MICKIEWICZ W LITERATURZE UKRAINSKIEJ"

— pod tym tytułem ukazała się nakładem Państw. Wyd. Lit. Pięknej Ukraińskiej SRR praca Grzegorza Werwesa, omawiająca ścisły związek twórczości Mickiewicza z postępową literaturą rosyjską i ukraińską oraz przekłady Mickiewicza na język ukraiński.

NARADĘ W SPRAWIE DRAMATURGII I KRYTYKI TEATRALNEJ

postanowił zwołać w październiku b.r. Związek Pisarzy Radzieckich. W naradzie weźmie udział ok. 100 literatów, działaczy teatralnych oraz kierowników działów sztuki w pismach poszczególnych republik i krajów.

„DRAME A TOULON" ZWYCIĘŻA POLICJĘ

Prefekt departamentu Loire Inferieure surowo zakazał wystawienia sztuki o Henri Martin p.t. „Dramat w Tulonie", z którą objeżdża Francję paryski zespół „Pares de Paris". Salę, w której miało się odbyć przedstawienie — otoczyła policja. 1.500 widzów przeszło wobec tego manifestacyjnym pochodem na drugi koniec miasta, śpiewając w drodze „Marsyliankę" i skandując „Liberez Henri Martin". Zorganizowany w nowym miejscu spektakl odbywał się aż do chwili, kiedy i tu przybyła policja, która brutalnie rozpędziła publiczność, aresztując 14 osób spośród widzów.

Pomimo sprzeciwu władz i szykan policji sztukę odegrano wreszcie o 7 rano na wielkiej łodzi, którą robotnicy przedostają się do pracy na drugi brzeg Loary. Po przedstawieniu nastąpiła zbiórka na cele walki o zwolnienie Henri Martina. „Drame a Toulon" wystawiono również w Le Croisic oraz w Penhoet.

„JESTEM KANDYDATEM POKOJU.

Kandyduję po raz pierwszy... Żyjemy w takim okresie czasu, który wymaga, aby wielu ludzi, którzy nie są zawodowymi działaczami politycznymi, wzięło udział w politycznej walce o pokój, wolność i demokrację w Ameryce" — oświadczenie tej treści złożył Howard Fast, który wyraził ostatnio zgodę na wysunięcie przez Amerykańską Partię Robotniczą jego kandydatury w wyborach do Kongresu. Kandydaturę Fasta wysunięto w robotniczej dzielnicy Nowego Jorku — Bronx.

„OCZAMI PRZYJACIELA"

— pod tym tytułem zamieszcza miesięcznik „Sławianie" recenzję o zbiorze wierszy ukraińskiego poety Lubomira Dmiterki pt. „Dobrzy sąsiedzi". Wiersze te to jak gdyby notatki z poetyckiego pamiętnika podróży po miastach i wsiach Polski Ludowej, historyczne szkice tego, co szczególnie mocno utkwiło w pamięci poety. Poeta — czytamy w recenzji — uważnie przysłuchuje się biciu serca nowej Polski i jego serce bije jednym rytmem z sercami przyjaciół — Polaków. Cieszy się on szczerze z każdego osiągnięcia Polski

Czytelnik poznaje całą galerię prostych ludzi naszego kraju — Dmiterko pisze o twórczej pracy górników Zagłębia Dąbrowskiego i Wieliczki, wiele utworów poświęca nowej wsi polskiej.

nożyce

Kartki z dziejów schematyzmu

(Ze zbiorów Juliana Tuwima)

BOLESŁAW PRUS

LALKA

(dokończenie) *)

XXXI. Z PAMIĘTNIKÓW STAREGO SUBIEKTA

...O gdybym mógł zobaczyć Stacha, myślałem sobie wczoraj, krążąc samotny ponad Wisłą, a do głowy przychodziły mi rozmaite złowrogie myśli... Chciałem się utopić, ale Wisła była zamarznięta (był to właśnie początek lutego, w sześć lat od chwili, gdy ten biedny Stach chciał się rzucić pod koła lokomotywy, która stała podobno w remizie). Cóż miałem robić? Poszedłem na piwo, piwo bowiem pijam teraz całymi antałkami... Przy kuflu rozpamiętywam przeżyte chwile i mówię sobie (bo często z sobą konferuję): oj, Rzecki, Rzecki, po diabła ty się ożeniłeś?

— Ba! nie po diabła — odpowiadam sobie — bo skoro wykradłem tę małą Helunię, córeczkę pani Stawskiej, to już musiałem się z nią ożenić... Cóż było robić? Założyłem sobie skład makagig, bo myślałem, że mi pójdzie interes. Tymczasem w rok straciłem całe 20 tysięcy co mi Stach zapisał (poczciwy Stach, jak on rozrzuca tymi pieniędzmi!) i wstąpiliśmy do cyrku z Helunią, jako gimnastycy... Marny los... Tfy... na stare lata hece wyprawiać...

Otóż pewnego razu chodzę sobie po arenie cyrkowej, patrzę i... oczom nie wierzę!

Do loży wchodzi panna Izabela z młodym Szlangbaumem pod rękę!

Zgłupiałem do reszty!... Na szczęście spotkałem przy wejściu do stajni dobrego znajomego.

— Nie znasz pan tej pary, co teraz weszła do loży? — pytam niby obojętnie.

— Jakto? pan jeszcze pytasz? Toż to przecięż państwo Szlangbaumowie... On kupiec galanteryjny, a ona z domu Izabela...

— Nie kończ pan... dosyć! szepnąłem... (O biedny, biedny Stach!)

— Tak, tak, panie — ciągnął mój znajomy — miała wyjść za tego idiotę Wokulskiego, ale gdy ją puścił w trąbę, poszła za Szlangbauma, któremu pierwsza żona umarła, bo mówiła, że to wszystko jedno — ten sam sklep, tylko inna firma.

— Tak — jęknąłem boleśnie...

— A tak, panie, tak, było to właśnie w tym miesiącu, gdy baronowa Krzeszowska rozwiodła się z mężem i wyszła za tego młokosa.

— Za jakiego młokosa?...

— Albo ja wiem kto on zacz?

Przy pierwszej sposobności poskoczyłem do baronowej, niby za interesem.

Dzwonię. Otwiera mi Zuzia. Wchodzę do salonu i spostrzegam czułą parę małżonków...

Rety!... a toż ja tę małpę gdzieś widziałem.

— Mój małżonek... rekomenduje mi baronowa ową małpę, która krzywi gębę, mruży oko i... poznaję wtenczas studenta Patkiewicza, który tak dzielnie robił przed nią niegdyś trupa.

— Kochamy się — ciągnęła dalej baronowa — czy uważałeś pan jak mężuś mój umie robić trupa?... Mężusiu, zrób no trupa! — rzekła baronowa z prośbą w głosie.

Patkiewicz wywrócił gały białkami! Zadrżałem!

— Wiesz pan, panie Rzecki, mówiła dalej, że mój ex mąż założył sobie bawarię na Furmańskiej...

— Pierwsze słyszę — odparłem.

— A tak!... pozbyłam się go nareszcie, jak również mego doradcy Maruszewicza, który ożenił się z panią Wąsowską, tą ciepłą wdówką.

— Czy być może?

— Doprawdy...

Gadaliśmy jeszcze chwilkę o potopie świata, poczem zaprosiłem ją na swój benefis w cyrku, Patkiewicz zrobił mi trupa na pożegnanie i wyszedłem.

Było już późno wieczorem, stanąłem pod Kopernikiem i myślałem sobie:

„Głupi świat, głupie życie, głupi ludzie, głupie ulice, głupie domy, głupie trotuary — żebym tak zdrów był!..."

„Chciałbym zaraz umrzeć, umrzeć śmiercią gwałtowną, tak, za pośrednictwem trucizny umrzeć, żebym tak zdrów był!"

„(*Mucha*" *1889* nr 15)

*) Ponieważ otrzymaliśmy przeszło ośm tysięcy listów pisanych przez palonych ciekawością czytelników Kur. Codz., abyśmy wpłynęli na rychlejsze dokończenie „Lalki" — nie mogąc w inny sposób cierpiącej ludzkości zadośćuczynić, zamówiliśmy koniec powieści u telepatki miss Fay, przybyłej właśnie do Warszawy. Prorokini wspólnie z magnetyzerem i odgadywaczem myśli p. Robert'em, zamagnetyzowawszy Bolesława Prusa na fotografii, podali nam następujący koniec powieści, który też na odpowiedzialność tych znakomitych gości zagranicznych umieszczamy.

Red



Bolesław Prus. Sztych współczesny. (Z archiwów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego).

HENRYK SIENKIEWICZ

KRZYŻACY

Powieść historyczna

(Ciąg dalszy)

CLXXXVII

Maćko przyłożył się i jednym haustem wychylił cztery przyspore beczki piwa i już miał ci puścić się w taniec.

— Nie rób tego — rzekł Zbyszko; spojrzyj, oto siedem wiader krwi z ciebie wypłynęło.

— Cóż by to być mogło? Aha, teraz rozumiem. Między żebrami tkwi mi srogie żeleźce, przez wroga zadane.

I wyciągnął grot sromotny z ciała, a było onego do trzech łokci.

— Drobiazg to — dodał — nawet go nie zauważyłem ani uczułem.

A gdy to powiadał, szedł drogą rybałt, któremu jeszcze dnia wczorajszego głowę ucięto, jeno że czasów onych ludzie krzepcy byli okrutnie, tedy odcięcie głowy nie było poczytywane za kalectwo.

Zbyszko ci w tym czasie do lasa szedł, a napotkawszy niedźwiedzia potężnego sromotnie, jedną ręką za gardziel ścisnął, udusił i do torby przytroczywszy, pomknął dalej.

I napotkał jednego pątnika z obońką i małżowinami a dalej szło trzech pocztowych, chłopów jak dęby, ale wszyscy bez nóg, które w wojnie potracili, jeno że nie było to dla nich przeszkodą, bo co chłopu po nogach, jeżeli odwagę ma w sercu?

Pątnik zaś, aby rozerwać nudę, wziął się do odwiecznego boru pielenia. I rwał z korzeniami dęby i sosny niebotyczne, a jeżeli przy tej zabawie natrafił w gąszczu na tura albo niedźwiedzia, to go żywcem chwytał a chował za pazuchę. I uzbierała się zwierza onego ćma nieprzebrana, więc wszystko później na ziemię prasnął i wywierciwszy w ziemi dziurę, patrzał co się też działo u antypodów.

— To ci chłop na schwał! — zawołali pocztowi i dla rozrywki jęli się mordować i wszyscy się oszczepami pouśmiercali, co wówczas było w wielkim użyciu.

Tedy Zbyszko nie mieszkając puścił się w drogę, a że głód jął go zmagać a gospody żadnej nie napotkał, przysiadł przy rowie i począwszy od nóg jadł samego siebie.

Tak ci też smakował, że nie zostawił ze siebie ani kosteczki, a że miał dzisiaj ujść jeszcze mil ze dwieście, więc wstał i szedł dalej...

(„Mucha", 1899, nr 43)



Henryk Sienkiewicz. Karykatura współczesna (Z archiwów Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego).

Sens moralny niektórych naszych postępowych powieści i komedji

PYTANIE. Kto jest pierwszorzędnym typem naszych powieści i komedii tendencyjnych?

ODPOWIEDŹ. Zacny i światły inżynier.

P. A któż więcej?

O. Czasami doktór, bardzo uczony i miłosierny.

P. Jakto i na tem koniec?

O. A prawda! niekiedy jeszcze występuje rzemieślnik z ewangielicznem sercem i głową Sokratesa obok mistrzostwa swego fachu.

P. Cóż tych wybrańców spotyka, gdy wejdą w świat?

O. Miłość zapamiętała pięknej, dobrej i ukształconej, bogatej dziedziczki arystokratycznego pochodzenia.

P. A czem są rodzice tej bohaterki?

O. Są to pospolicie bardzo zacofani i przesądni ludzie, czasami biernie poczciwi, ale zawsze niedołężni.

P. Jakże autorowie przedstawiają rodziców swoich inżynierów, doktorów i rzemieślników?

O. Zazwyczaj przemilczają o nich zupełnie.

P. A czemże usprawiedliwiają wzniosłe, moralne i umysłowe stanowisko panienki arystokratycznego domu, wychowanej pod wpływem zepsucia i niedołęstwa rodziców i całego otoczenia?

O. Drażliwy ten szczegół jest zwykle pominięty, albo zbawienny kierunek pańskiego dziecka, przypisują błogim wpływom dzieci, a raczej bab i dziadów ludu... to jest starej niańce, staremu pasiecznikowi lub tym podobnym. Niekiedy też pan inżynier, doktór albo rzemieślnik sam sobie wykształca bohdankę z arystokratycznego domu.

P. A czyż ci inżynierowie, doktorowie, rzemieślnicy, nie znajdują odpowiednich ideałów płci żeńskiej w swojej sferze?

O. Owszem, sfera ta przepełniona jest podobnemi ideałami, ale te ideały przeznaczone są dla synów zacofanych bogatych arystokratów albo bankierów.

P. Dla czegoż nie żenią się z niemi owi wybrańcy społeczni?

O. Bo musieliby pracować i dowieść swojej prawości, silnej woli i rozumu, troskę o byt żony i rodziny.

P. Jakto? więc ci mądrzy i zacni panowie po ożenieniu metamorfozują się w swoich teściów?

O. Coś nakształt tego.

P. Skądże ta nieudolność w autorach do utrzymania charakterów?

O. Zdaje się stąd, że ci panowie błądzą zaledwie po korytarzach złośliwego skandalu i zawistnego paszkwilu; ale nie doszli jeszcze do należytego pojęcia o stanowisku i godności umiejętnej, samoistnej pracy.

(„Kurier Świąteczny" 1875, nr 25)

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro, tel. 4-01-80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 7-52-50. Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P P K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48 — Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W-wa, Poznańska 38, konto PKO 1-5589/111, tel. 7-38-05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5
3-B-26166